Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 8 (1848) ● 20–26 lutego 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

4 LATA jak jeden dzień

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 07bed47261

WOJNA DOMOWA

Premier Tusk udał się do siedziby Giełdy Papierów Wartościowych, gdzie zaprezentował „bezczelny optymizm". W tonie, którego nie powstydziłaby się Polska Kronika Filmowa z pierwszej połowy lat 70., premier ogłosił, że rządzony przez niego kraj jest „oazą stabilności i wzrostu", obiektem zazdrości całego świata, i nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa, bo mamy przez sobą „rok przyspieszenia". Tego samego dnia ukazał się sondaż CBOS dotyczący tzw. nastrojów konsumenckich Polaków. Jeśli spytać o najbliższy rok, to optymistów jest 24 proc., a pesymistów równo dwa razy tyle. Odsetek Polaków, którym w ciągu ostatniego miesiąca udało się coś zaoszczędzić, spadł z 54 do 50 proc., odsetek ograniczających wydatki na zaspokojenie bieżących potrzeb wzrósł z 37 do 41 proc., a pożyczających pieniądze na codzienne życie – z 10 do 12 proc. Ale u pana premiera w domu wszyscy zdrowi.

Zwłaszcza wnuczki – jak możemy zgadywać, ale do końca nie wiemy, bo to temat tabu. Czego dowiedzieliśmy się przy okazji debaty nad wylotem prezydenta Nawrockiego na posiedzenie trumpowej Rady Pokoju. „Premier mówi, że może pan lecieć" – powiedział dziennikarz. „Premier nie będzie mówił, gdzie ja mam latać, co to są za słowa, pan premier może swojemu synowi powiedzieć, gdzie może lecieć, czy swoim wnuczkom" – uniósł się prezydent. „Rozumiem strach, rozumiem nerwy, ale od moich wnuczek wara" – odciął się premier. Jak dobrze, że w tych trudnych czasach mamy dojrzałych i opanowanych przywódców.

Trwa awantura o pożyczkę z programu SAFE na zbrojenia. Władza jest za, a opozycja przeciw i obie strony wiedzą, że ta druga to sprzedawczyki. „Każdy, kto głosuje przeciwko programowi SAFE, jest albo głupcem, albo zdrajcą interesów Polski" – ogłosił z trybuny sejmowej mały Władziu i tak mu się oczy świeciły do nowych zabawek, które Donek mu kupi za prawie 200 dużych banek, tylko wcześniej je musi pożyczyć od Ursuli. Pamiętacie taką reklamę Providenta? „Zawsze chciałem mieć takie coś"…

W kolejce do Providenta Władzia z Donkiem wyprzedził prezes Kaczyński, który uważa, że te 3,17 proc. oprocentowania zmiennego na 45 lat to w sumie nic i nie warto się użerać o odsetki, zwłaszcza jeśli z tym kredytem wiążą się jakieś warunki – na przykład transparentnego rozliczania zakupów w Brukseli. Albowiem „polska niepodległość nie ma po prostu ceny i dlatego nawet jeżeli byśmy mieli trochę więcej zapłacić, to to jest nieporównanie bardziej opłacalne dla Polski niż to, co jest nam proponowane, bo proponowana nam jest Polska pod niemieckim butem. My ten niemiecki but odrzucamy" – przemawiał prezes z żarem. Albowiem Niemcy to „państwo postnazistowskie, tak to trzeba określić" – tu prezes pozwolił sobie na dygresję: „tak, jak Polska niestety ciągle w niemałej mierze – no tutaj sprawa Czarzastego jest dobrym przykładem – jest państwem postkomunistycznym". Po czym powrócił do głównego wątku: „takie państwo powinno siedzieć w kącie i przepraszać, że żyje, a nie próbować przewodzić". Powiedzmy tak: w porównaniu z Donaldem Trumpem prezes jest w świetnej kondycji, wcale nie wykazuje oznak otępienia i wszystko, co mówi, jest spójne i zrozumiałe – ale może ktoś by mu podsunął test MoCA?

Posypała się Polska 2050. Z klubu odeszła połowa członków – a szczególnie członkiń – uznająca Paulinę Hennig-Kloskę za swoją liderkę, co samo w sobie jest dość smutne. Smutni założyli nowy klub, który nazwali oryginalnie „Centrum". Jeszcze dwa tygodnie wcześniej ci, co przegrali wybory wewnątrzpartyjne z Hennig-Kloską na czele, deklarowali lojalność wobec partii i procesu demokratycznego – ale nowe władze nie zrobiły posiedzenia klubu podczas posiedzenia sejmu i to ponoć przelało czarę goryczy. I wszyscy chcemy wierzyć, że nie miało to żadnego związku z faktem, iż Donald Tusk bardzo nie chciał zrobić Pełczyńskiej-Nałęcz wicepremierem, a teraz już nie musi.

Różnica między klubem starym i nowym jest taka, że stary będzie – zgodnie z deklaracją Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz – „wyrazistym centrum", co oznacza, że chce „walczyć o prawa zwykłych ludzi, o prawa klasy średniej" i „zawsze opowie się po stronie mieszkańców, nie po stronie wielkich korporacji", a także, że chce „sprawiedliwych podatków dla klasy średniej, dla ludzi pracujących". Tymczasem w nowym klubie, Centrum bezprzymiotnikowym, większość – jak wyjaśnił jeden z rozłamowców, sen. Masłowski – „reprezentuje pokolenie X". Pokolenie to „nie oczekuje tego, żeby centrowa partia zaczęła mówić językiem lewicy", a tymczasem Pełczyńska-Nałęcz „bardzo często atakuje ostatnio biznes". I jeszcze sen. Masłowski zapuścił się w potoczystą metaforę o „kołysaniu łódką", co powtórzył też Ryszard Petru. Generalnie rozumiemy: kochacie biznes i Tuska, więc może ten pierwszy kupi wam miejsce na listach tego drugiego. Brzmi jak plan.

À propos pokolenia X, które – cytując sen. Masłowskiego – „dzisiaj rządzi Polską w kontekście, że kieruje instytucjami finansowymi, odgrywa kluczowe role w życiu społecznym i gospodarczym, natomiast no po prostu nie ma swojej wystarczającej reprezentacji", naszą uwagę zwrócił rozpoczynający konferencję rozłamowców poseł Suchoń, który zagaił: „Witam państwa na konferencji prasowej posłów". I w tym momencie ktoś dorzucił: „I senatorów". „Jezus Maria, i fuka zaraz na początku" – zafrasował się poseł Suchoń. Może 50-letni poseł Suchoń chciał błysnąć językiem młodzieżowym – z tym, że „fuka" w slangu miejskim oznacza amfetaminę. Uznajmy więc, że chodziło mu o „faux pas".

„To była dywersja i próba wykolejenia pociągu z paliwem; służby nie mają wątpliwości, że stoi za tym wrogie Polsce państwo" – doniosły media. Dywersanta – który, wedle słów rzecznika policji „chował się na podeście pomiędzy wagonami razem z walizką" – zatrzymały niezawodne polskie służby po tym, jak zaczepił maszynistę pociągu towarowego i poprosił o podwózkę do Dorohuska. Maszynista odmówił, wobec czego koleś zaciągnął hamulce bezpieczeństwa w trzech wagonach. „Cel był jasny, to znaczy wykolejenie pociągu" – poinformował opinię publiczną min. Kierwiński. Pierwsze informacje były takie, że dywersantowi – przy którym znaleziono mołdawski paszport i „dokumenty w języki rosyjskim" oraz „sprzęt elektroniczny" – grozi dożywocie. Po paru dniach jednak przeceniono to do 10 lat – może dlatego, że hamulce bezpieczeństwa są specjalnie zaprojektowane tak, żeby wykluczyć wykolejenie pociągu; a już zwłaszcza jest to niemożliwe, kiedy pociąg stoi. Ale podsycić czujność obywateli zawsze można.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Luty 2014 r.

Świętego Feliksa

Belgijski parlament uchwalił, że beznadziejnie chore dzieci mogą decydować o tym, czy wolą zostać uśmiercone, czy dalej się męczyć. 74 proc. obywateli Belgii popiera nową ustawę. Nie chciałbym żyć w kraju, gdzie już dzieci obarcza się decyzją o eutanazji. Ale chciałbym żyć w kraju, w którym trzy czwarte społeczeństwa popiera takie prawo.

Świętej Beatrycze

Mój pudel Azor (nie dość przypominania, że odznaczony komandorią orderu Polonia Restituta) zerwał ze mną stosunki, w ogóle mnie nie zauważa. Ponieważ jest on analfabetą i nie czyta „NIE", ktoś musiał mu donieść, że wycieram sobie nim gębę w blogu. Kto? Jedyną osobą, która czyta to, co ja piszę, jest pani korektorka. Azor jednak nie bywa w redakcji, a pani korektorka u mnie w domu. Gdzie się widują?

Ostatnio Kościół zwalcza uczłowieczanie zwierząt, a ja zwalczam Kościół. Być może to jest źródło obrazy. Ja uczłowieczam Azora, a on wstydzi się bliskiego pokrewieństwa z ludźmi.

Świętej Apolliny

Prezydentówna Monika Jaruzelska jest jedyną w Polsce 50-latką, którą nadal wszyscy pytają, czy bardziej kocha tatusia, czy mamusię.

Świętego Clauda

Joanna Szczepkowska, aktorka taka sobie, zwraca na siebie uwagę występami poza sceną. Tragiczny upadek komunizmu 25 lat temu radośnie ogłosiła w TVP właśnie aktorka Szczepkowska. Teraz została wyznawczynią księdza Oko i bluźni na prof. Magdalenę Środę.

Wraz z komuną upadła najlepsza idea ukształtowania człowieka po nowemu. Jaki to miał być człowiek, pisał o tym 93 lata temu Lew Trocki: „Człowiek ten będzie dbał o harmonię z samym sobą. Swoim zadaniem uczyni staranie, by ruchom swoich członków – czy to podczas pracy, chodzenia czy zabawy – nadać najwyższą jasność, celowość, ekonomię, a przez to piękno. Będzie on czuł wolę, by panować nad podświadomymi, a później również świadomymi procesami własnego organizmu: oddychaniem, krążeniem krwi, trawieniem i czynnościami seksualnymi, a także, jeśli to konieczne, podporządkować je rozumowi i woli. Życie, nawet to czysto fizjologiczne, stanie się życiem kolektywno-eksperymentalnym. Płeć ludzka, na trwałe zakodowana w homo sapiens, zostanie radykalnie przepracowana i stanie się – w rękach człowieka – obiektem najbardziej skomplikowanych metod sztucznego doboru i treningu psychofizycznego. Mieści się to jak najbardziej w realnym wyobrażeniu o naszej przyszłości. (...) Dzięki temu możliwa staje się gruntowna przebudowa tradycyjnego modelu życia rodzinnego. (...) Człowiek postawi sobie za cel bycie panem własnych uczuć, podniesienie instynktów na poziom własnej świadomości, uczynienie ich jasnymi i przejrzystymi, wniknięcie wolą do najdalszych głębi podświadomości i w ten sposób podniesie się na wyższy stopień – stając się, jeśli można to tak nazwać, wyżej zorganizowanym typem społeczno-biologicznym, nowym człowiekiem. (...) Człowiek taki będzie bez porównania silniejszy, mądrzejszy i szlachetniejszy, a jego ciało stanie się bardziej harmonijne, jego ruchy bardziej rytmiczne, głos bardziej muzykalny. Formy jego życia codziennego nabiorą dynamiki teatralnej".

Czyli nowy komunistyczny człowiek miałby mieć za wzór aktorkę Szczepkowską. Trocki! Cóż to jednak znaczy żydowski łeb.

Świętej Julianny

W połowie lutego „Gazeta Polska Codziennie" alarmowała nagłówkiem na pierwszej stronie: „Byli opozycjoniści na skraju nędzy". Mianowicie Przemysław Górny, „twórca Związku Młodzieży Demokratycznej i Ligi Narodowo-Demokratycznej, jest ciężko chory. Jego sytuację mógłby zmienić zabieg za 700 zł, ale na to opozycjonisty nie stać". „Chodzi jedynie o kwotę 700 zł" – czytamy. I jeszcze: „trwa dramat byłych opozycjonistów, którzy często są pozbawiani prawa do emerytury, są wyrzucani z mieszkań i żyją w biedzie". Chociaż jestem postkomunistą, to zdjęty litością gotów jestem sfinansować Górnemu tę operację za 700 zł. Chętnie do spółki z red. Sakiewiczem. Uważam też, że w 25 lat po zakończeniu destrukcyjnej działalności opozycji w PRL czas już objąć solidaruchów powszechnym systemem emerytalnym, publicznym bezpłatnym lecznictwem i prawem ochrony lokatorów. Bo pies drapał akurat Górnego, ale co będzie, jak Adam Michnik zachoruje?

Cd. Świętej Julianny

Tego samego dnia mąż stanu i pani Sakiewiczowej kochanej proponuje odrodzenie jagiellońskiej I Rzeczypospolitej. Chodzi o wschodnioeuropejską wspólnotę narodów pod wodzą Polski. Byłaby ona antyrosyjska i proamerykańska. Dawałaby Stanom Zjednoczonym „możliwość poszerzenia strefy euroatlantyckiej aż po Kaukaz". „Siła pozycji Polski na Wschodzie powoduje, że stajemy się pierwszoplanowym graczem na Zachodzie". Tradycyjna otwartość Rzeczypospolitej na religie i kultury narodów wschodniej Europy sprawia (lub sprawi), że polskość jest dla nich najcenniejszym skarbem – czytamy.

Też nam się, kurwa, Bismarck narodził! Niech jedzie na Majdan zaproponować miłośnikom UPA polską hegemonię, a w zamian USA podbiją Kaukaz.

Świętej Alexis

Zmarła moja pierwsza miłość. Kiedy miałem pięć lat, nosiłem blaszany pierścionek z fotografią Shirley Temple. Rodzice mówili „za stara dla ciebie", bo miała już siedem czy osiem lat, tylko udawała młodszą. Z blond dzidziusia, że sama słodycz, wyrosła stara, reakcyjna zdzira polityczna. Dobrze, że ją w porę rzuciłem na rzecz Mickey Mouse. Ale ta mysz Disneya to też była miłość platoniczna. Onanizowałem się dopiero pod Królewnę Śnieżkę w 1940 r., chodząc już we Lwowie do I klasy radzieckiej szkoły, wcześniej im. Notre Dame.

Cd. Świetej Alexis

Było: podwójne sracze, ściany się walą, malowana trawa, śnieg tropikalny, Putin szkaradny. Gówniana olimpiada. Jest: złoto leje się na Polskę, wiwat Soczi.

Jak olimpiada gówniana, to medale także. (Tusk obiecuje, że po Soczi zacznie znów wyrzucać pieniądze na obiekty sportowe, a on spełnia takie groźby).

Świętego Walentego

Moje niespełnione walentynki: intymna kolacja z Antonim Macierewiczem. Potem ja jego, on mnie. Na koniec śniadanie. Oj, Daniszewska, Daniszewska. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Wrocławska kuria** ostrzega księży przed oszustami, którzy udają biskupa i proszą o ofiarę. Trzeba odróżnić oszusta biskupa od oszusta, który udaje biskupa.
- **Barack Obama** powiedział, że według jego wiedzy kosmici istnieją. Obecnie stanowisko prezydenta USA pełni Jaba.
- **Karol Nawrocki** nazwał ministra Żurka prawnym terrorystą. Od pirata drogowego to jest awans.
- **Przemysław Czarnek** powiedział, że można nazwać konia krową, a i tak koniem pozostanie. Muły po prostu nie istnieją.
- **Polscy biskupi** sprzeciwiają się zniesieniu kary więzienia za obrazę uczuć religijnych. Wieczność w piekle nie wystarczy.
- **Wojciech Cejrowski** podejrzewa, że Ziemia może nie być kulą. Dowód naukowy: Biblia.
- Jest uchwała o prohibicji w całej Warszawie z wyjątkiem **Lotniska Chopina.** Następne obrady sejmu w hali odlotów.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Wizerunek ciotki prezesa

W interesującym artykule o Aleksandrze Wielopolskim Autor podpisujący się M.Z. wspomniał o „popularnej ludowej piosence powstańczej z 1831 r.". Otóż pieśń ta powstała w roku 1835 lub 1836, więc po upadku powstania. Autorem słów był Gustaw Ehrenberg, poeta, działacz ludowy i niepodległościowy. Po raz pierwszy wiersz opublikowany został w 1848 r. w Paryżu i w tym samym czasie w Krakowie. Muzyka natomiast jest dziełem Fryderyka Chopina (Wariacja B-dur op. 2).

Pieśń została przyjęta przez ruch ludowy i stała się jego hymnem (od 1993 r. także Samoobrony). Po przemianach ustrojowych odrodzone Polskie Stronnictwo Ludowe porzuciło tę buntowniczą pieśń i przyjęło za hymn „Rotę". Prawdopodobnie wzmianki o prałatach odpowiedzialnych za krew bratnią i o rękach czarnych od pługa w hymnie z 1835 r. nie pasowały do wizerunku ciotki prezesa Kosiniaka-Kamysza.

Odnośnie do samej postaci Aleksandra Wielopolskiego polecam książkę Ksawerego Pruszyńskiego „Margrabia Wielopolski", Londyn 1944.

Janusz Wrzecion, Warszawa

Niech zwycięży humanitaryzm

Gratuluję panu Tadeuszowi Jasińskiemu artykułu „Uszlachetniani bólem" („NIE", nr 6/2006). Tak się składa, że w grudniu, po ciężkiej chorobie zmarła mi żona. Przez kilka ostatnich lat byłem jedynym jej opiekunem i zetknąłem się z przewlekłą, ciężką chorobą, bólem oraz uczuciem pozostawienia samemu sobie przez system (żeby być sprawiedliwym – system wsparł mnie nieco w ostatnich latach). Żona przesadnie nie cierpiała i dobrze reagowała na środki przeciwbólowe, ale opowieści opiekujących się nią pań jeżyły włosy na głowie. Ci, którzy mieli pecha, już tu, za życia, przeżywali i wciąż przeżywają piekło.

A, ku..a ich mać, złotoustci politycy ani się nie zająkną. Bo słupki poparcia, bo elektorat, bo najważniejsze w życiu to przecież delektować się władzą.

Wracajcie od czasu do czasu do tego tematu, bo kropla drąży skałę i, jak widać, tu i ówdzie na świecie humanitaryzm zwyciężył.

Jeremiasz z Wadowic

eprasa.pl 07bed47261

Ocalić SAFE?

GADMAN

Pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy

„Ma on trzy tysiące pancernych, a setka ich znaczy tyle co dziesięć secin innych. Daje on tym mężom odzież, konie, broń i wszystko, czego tylko potrzebują” – tak Ibrahim ibn Jakub opisywał zbroją drużynę księcia Mieszka. Ibrahim był kupcem. W podręcznikach pisanych dla patriotów o dziecięcym rozumku jawił się pionierem bursztynowego szlaku. Naprawdę handlował niewolnikami, których świeże dostawy miał Mieszko. Byli to zwykle sąsiedzi, słowiańscy bracia budującego swe państwo księcia. Trafiali potem do islamskich kalifatów, na tereny obecnej Hiszpanii, Syrii, Iraku, Egiptu. Tam było na nich największe zapotrzebowanie. Wielu obecnych mieszkańców tych państw ma w sobie korzenie pra-Polaków.

Kiedy Mieszko poślubił czeską katoliczkę i przyjął katolicką wiarę, interes mu się popsuł. Katolicki władca nie mógł sprzedawać swych ludzkich braci wrażym muzułmanom, bo byli oni wtedy objęci papieskimi sankcjami. Mógł za to swobodnie handlować z Żydami, którzy bojkotowali tamten dwubiegunowy świat i sankcje. Zakupione u nas Słowianki sprzedawali bogatym Arabom. Brali niestety za to prowizję, jak potem ten Epstein.

Szefem jednej z takich niewolniczych karawan cienia był ów Ibrachim Jabukowicz. W zależności od potrzeby klienta, bywał Arabem lub Żydem. Dorabiał też szpiegowaniem.

Dzięki handlowi niewolnikami książę Mieszko mógł stworzyć pierwsze regularne, zwycięskie wojsko polskie. Jego syn Bolesław Chrobry finansował z tego procederu jeszcze koszty tworzenia administracji kościelnej i odgórnej chrystianizacji nowego królestwa polskiego.

Szlachta nie płaci

Niestety, to co dobre nie trwa wiecznie. Po wyschnięciu handlu niewolnikami polskim władcom pozostały jedynie dwa źródła finansowania zbrojeń: grabieże, zwykle sąsiadów, i podatki nakładane na poddanych. Grabieże powodowały grabieżcze akcje odwetowe, a podatki niezadowolenie podatników. Bunty społeczne, których tłumienie wymagało interwencji wojska. Czyli kolejnych kosztów zbrojeń.

W I Rzeczypospolitej powstał oryginalny system demokracji szlacheckiej. Jego przyczyną była szczególna niechęć polskiej szlachty do płacenia podatków. Przede wszystkim na państwowe wojsko. Fundamentem tamtej demokracji szlacheckiej była uchwalona w 1505 r. konstytucja zwana Nihil novi. Zakazywała ona królowi wydawania ustaw, czyli nakładania podatków, bez uzyskania zgody szlachty reprezentowanej przez senat i izbę poselską.

Od tamtej pory król musiał każdorazowo prosić stan szlachecki o podatki na wyprawy wojenne i zbrojenia. Stałymi kosztami obrony narodowej obarczano miasta królewskie, Żydów, chłopów w dobrach królewskich, górników. Szlachta podatki płaciła symboliczne. W zamian, w razie zagrożenia ojczyzny, miała tworzyć obywatelską armię, stawać do boju jako pospolite ruszenie. Wystawiać wojsko za własne pieniądze, przede wszystkim poczty husarskie, skuteczne jak czołgi. Do połowy XVII w. taki system był efektywny. Wygrywano tak chwalebnie bitwy. Ale z biegiem lat coraz częściej przegrywano długoletnie wojny. Zwłaszcza kiedy nadszedł czas zawodowych armii z poboru. Muszkietów i artylerii. Ludwisarni, stoczni, młynów prochowych.

Rys. MARCIN CHUDZIK

W XVII w. król Władysław IV próbował zmodernizować polskie wojsko. Zapraszał cudzoziemskich fachowców. Wybudował arsenały, gdzie gromadzono zakupioną artylerię. W 1640 r. doliczono się 325 dział i moździerzy. Wtedy już 50 dział wystarczało dla bitnej armii. Jednak zgromadzone w polskich arsenałach działa były w większości bezużyteczne, bo brakowało do nich kosztownych zaprzęgów artyleryjskich, wozów amunicyjnych, amunicji i wykwalifikowanej obsługi. Działa pięknie się prezentowały na pokazach i w sprawozdaniach. Nie miały szansy powalczyć.

Dodatkowo w czasie każdej elekcji polskiego króla stan szlachecki dzielił się na wojujące obozy. Ówczesne kampanie wyborcze sprawiały, że prywatne magnackie armie otwarcie walczyły ze sobą. Zwykle za pieniądze obcych mocarstw zainteresowanych osadzeniem swojego króla. W XVIII w. walczące polskie stronnictwa wspierane były też przez zapraszane do nas obce wojska. Rozbiory potwierdziły traconą suwerenność.

Oszwabić Francuza

Odrodzona II Rzeczpospolita odziedziczyła po armiach zaborców sprzęt wojskowy. Udało się nim zwyciężyć Rosję Radziecką w 1920 r. Potem suwerenni Polacy musieli budować kapitalizm bez kapitałów. Wtedy okazało się, że niepodległość z kusym budżetem może być krucha. Pierwsze rządy chwytały się rozpaczliwie zagranicznych pożyczek. Najpierw próbowano uzyskać ją u brytyjskich bankierów. Ci zgodzili się pod warunkiem cięć kosztów, przede wszystkim wojskowych. Odrzucono taką opcję. Zdecydowano się na szybką pożyczkę od szwedzkiego biznesmena Ivara Kreugera. Dostał 50 proc. zysków z Polskiego Monopolu Zapałczanego. Udało się wreszcie w 1927 r. uzyskać kredyt od amerykańskiej korporacji J.P. Morgan. Państwo polskie przeżyło, ale armia zakonserwowała się.

Szansa na modernizacje pojawiła się w 1936 r. Francja udzieliła Polsce kredytu w wysokości ponad 2 mld franków francuskich. Bo Paryż już dostrzegł niemieckie zagrożenie. Kredyt miał wrócić do Francji, bo wojsko polskie miało kupować nowoczesny sprzęt wojskowy we francuskich fabrykach. Tak się nie stało. Nie tylko dlatego, że polscy wojskowi nie śpieszyli się z zakupami, a francuscy dostawcy nie dotrzymywali terminów umów, preferując dostawy dla armii francuskiej też głodnej nowoczesnego sprzętu. W efekcie w maju 1940 r. armia francuska skorzystała z dział zamówionych przez polską armię wiosną 1939 r.

Strona polska nie śpieszyła się z wydawaniem francuskiego kredytu we Francji, bo zwyciężyła koncepcja od lat lansowana przez Eugeniusza Kwiatkowskiego. Wtedy wicepremiera i ministra skarbu. Zaproponował, aby skorzystać z tej szansy i francuską pożyczkę wykorzystać do budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego. Celami COP było zwiększenie gospodarczego potencjału Polski, rozbudowa przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego, a także zmniejszenie bezrobocia. Przyszłe przedsiębiorstwa zaplanowano na terenach wiejskich, zacofanych cywilizacyjnie, bez infrastruktury komunikacyjnej. Aby zachęcić kapitał prywatny, obiecano zwolnienia podatkowe. Nie przyniosło to oczekiwanych skutków, bo takich środków finansowych w tamtej Polsce nie było. Pomimo tego do 1939 r. budowano pięć hydroelektrowni. Jedną z nich, w Rożnowie, ukończyli niemieccy okupanci. Zbudowano i rozbudowano wiele ważnych zakładów – jak hutę w Stalowej Woli, fabrykę kauczuku w Dębicy, zakłady lotnicze w Mielcu, fabrykę silników i obrabiarek w Rzeszowie, fabrykę prochu w Niepołomicach, fabryki samochodów i samolotów w Lublinie, broni w Starachowicach i Radomiu, prochu w Pionkach.

Potem Niemcy zajęli COP. Modernizowali i wykorzystali na potrzeby własnej wojny. Aż front tam dotarł. W Polsce Ludowej już w latach 1947–1949 większość zakładów odbudowano bądź uruchomiono na nowo. Potem COP stał się filarem gospodarki centralnie planowanej. Po przeobrażeniach transformacji ustrojowej wiele jego zakładów wciąż funkcjonuje. Dziś uważa się, że zainicjowany wtedy COP, modernizowany potem przez Niemcy i Polskę Ludową, jest największym projektem industrialnym w historii Polski.

Poczęty został za francuską pożyczkę. Już wtedy zakładał konflikt z pożyczkodawcami pragnącymi jedynie sprzedawać swe uzbrojenie. Ich ewentualne roszczenia miały być spłacane potem ze sprzedaży powstających w COP nowoczesnych armat, samolotów, samochodów. Krytycy COP zauważali, że tamte pieniądze przeznaczone na uzbrojenie polskiej armii wydano na fabryki uzbrojenia, które polskiej armii nie zdążyły uzbroić. W efekcie ponieśliśmy klęskę we wrześniu 1939 r. I potem II Rzeczpospolita upadła.

Zwolennicy COP uważają, że nawet dozbrojona przez francuski sprzęt polska armia była skazana na klęskę w wojnie z Niemcami i ZSRR. Zakupione we Francji uzbrojenie mogło jedynie przedłużyć walki obronne w Polsce. A dzięki takiemu manewrowi finansowemu polskie społeczeństwo zaznało rewolucji przemysłowej, skoku cywilizacyjnego. Zaprojektowane wtedy elektrownie wodne i zbiorniki działają do dzisiaj. A wyprodukowana wtedy broń nadaje się jedynie do muzeum.

Co SAFE nam ocali?

Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że jako Polska dostaniemy prawie 44 mld euro pożyczki na szybkie zmodernizowanie polskiej armii. Pożyczka jest nisko oprocentowana i nie trzeba jej szybko zwracać. To raczej wiemy. Ale już na co ów szmal wydamy, jakie firmy finansowo dozbroimy, do końca nie wiemy. Bo wiele wydatków, ze względu na toczoną już wojnę hybrydową, jest tajnymi. Możemy domyślać się, co będzie produkowane, ale nie ma pewności gdzie i przez kogo.

Krytycy programu SAFE alarmują, że Polacy zapłacą za sprzęt wojskowy wyprodukowany przez firmy niemieckie i francuskie. Co nie byłoby głupie, gdyby ich podwykonawcami były firmy polskie.

Ferdinand Porsche też tak zaczynał. Straszą, że pożyczka brana w euro w finale doprowadzi Polskę do strefy euro. Co też głupie by nie było, jeśli wejście do tej strefy też zacznie nam się opłacać. Nie wspominają, że nie ma gwarancji, iż potencjalny agresor napadnie na naszą Polskę. Czy wzmocni napad hybrydowy, który wymaga zupełnie innych zbrojeń, czy zrobi to tak po staremu, czyli bomby, czołgi, bagnety? I wtedy wojenko, wojenko.

Jednak brak takiej napaści może sprawić, że wiele z zakupionych teraz czołgów i dział za 20 lat będzie się nadawać jedynie jako dekoracja skwerów lub gabinetów grozy w parkach rozrywki. Z innymi zakupami pozostaniemy jak Himilsbach z angielskim w jego czarnym śnie.

PIOTR GADZINOWSKI

Dług ojca idzie w prawnuka

Czy po czterech latach impasu na Ukrainie naprawdę musimy bać się Rosji?

W czwartą rocznicę wybuchu wojny na Ukrainie polscy politycy i komentatorzy kłócą się o to, kto przoduje w wyścigu zbrojeń, a kto mu rzuca kłody pod nogi. Dzięki temu dowiedzieliśmy się, że za programem SAFE są agenci Niemiec, a przeciw – agenci Rosji. Od razu poczuliśmy się bezpieczniej.

„Maski opadły. PiS i Konfederacja zagłosowały przeciwko programowi SAFE, czyli przeciw bezpieczeństwu Polski, przeciw nowoczesnej armii, przeciw polskiemu przemysłowi zbrojeniowemu. To już nie jest opozycja, to są wrogowie polskiej niepodległości” – ogłosił polski premier, jak zwykle komunikując się z polskim społeczeństwem za pomocą amerykańskiego portalu społecznościowego. „Polska niepodległość nie ma po prostu ceny i dlatego nawet jeżeli byśmy mieli trochę więcej zapłacić, to to jest nieporównanie bardziej opłacalne dla Polski, niż to, co jest nam proponowane, bo proponowana nam jest Polska pod niemieckim butem” – odpowiedział lider opozycji, dodając, że chętnie do kosztu kredytu dorzuci dodatkowe 30 dużych baniek, byleby nie pożyczać z Brukseli.

Jeśli ktoś nie śledzi zbyt pilnie wywodów polskich elit politycznych, to ten niewyrafinowany podział zadań przebiega mniej więcej tak.

Władza mówi: SAFE to najtańsza możliwa pożyczka, przeciwko są wrogowie ojczyzny, działający na rosyjskie zlecenie. Jak syntetycznie ujęła to w komentarzu odredakcyjnym „Gazeta Wyborcza”: „Wydawałoby się, że wszystkie – poza jawnie prorosyjskimi – siły polityczne powinny temu projektowi przyklasnąć”. Opozycja odpowiada: Niemcy dają nam tę pożyczkę, żebyśmy ją wydali w niemieckich fabrykach, a nie, po bożemu, w amerykańskich – a do tego ukryli w niej smycz w formie „warunkowości” i jak im się nie spodoba, kto u nas rządzi, to zakręcą kurek i Polska nie będzie mogła się obronić.

Obie strony przemilczają niewygodne elementy.

Pierwsza: że mówimy o zaciągnięciu 185 mld zł kredytu w euro, na okres 45 lat, z oprocentowaniem zmiennym startującym od 3,17 proc. Co oznacza, że z odsetkami spłacimy ponad dwa razy tyle – i to nie uwzględniając ryzyka kursowego, którego w perspektywie 45 lat tak naprawdę nie da się uwzględnić. Krótko mówiąc, opowieści o tym, że jest to niezwykle tania pożyczka nie polegają na prawdzie; nikt nie ma pojęcia, ile ta pożyczka będzie kosztować. Zwłaszcza, że złoty jest dziś relatywnie mocny, ale to się może zmienić. Za to wiadomo na pewno, że kredyt zaciągnięty przez rząd Tuska spłacać będą nie tylko jego wnuczki – od których, jak wiemy, wara – ale też wnuczki wnuczek.

Druga strona programowo przemilcza fakt, że filozofią gospodarczą amerykańskiego biznesu jest dymanie frajerów – a my nieodmiennie występujemy na etacie za frajera. Symbioza gospodarcza Polski z Niemcami, dodatkowo wzmocniona zasadami programu SAFE, oznacza, że gdyby pożyczka z SAFE rzeczywiście poszła na zakupy w Niemczech – to polska gospodarka jakoś by się pożywiła. Polskie interesy z USA znakomicie ilustruje historia offsetu do F-16 – kiedy nasz wielki sojusznik umyślił w ramach inwestycji w rozwój polskiego przemysłu zbudować w Polsce wielkie przemysłowe chlewnie. W przypadku F-35 Stany zaproponowały offset nie w postaci amerykańskich inwestycji w Polsce, tylko dodatkowych polskich zakupów w USA: licencji na częściową technologię serwisowania F-16 za miliard dolków (plus koszt dostosowania polskich zakładów). Rząd PiS dość rozsądnie z tej wspaniałomyślnej oferty zrezygnował, co oznacza, że zakup, wart koło 20 mld dolarów obył się bez offsetu.

Ta cała pyskówka pomija jednak kwestię zasadniczą: czy te wydatki w ogóle mają sens?

Tego pytania oczywiście nikt nie zadaje. W debacie sejmowej nad programem SAFE wszyscy – od wywodzącego się z ruchu antywojennego lewaka Koniecznego z Razem, po braunowego Skalika, którego rzekoma „otwarta prorosyjskość” miała stanowić zagrożenie dla tajności obrad RBN – byli bezkrytycznie za zbrojeniami. Nikt nie kwestionował celu tych monstrualnych nakładów odbywających się – nie czarujmy się – kosztem służby zdrowia, edukacji, nauki, budżetówki, emerytów…

Dobra, dobra, wiem: tylko ruscy agenci są przeciw zbrojeniom… Ale tak właściwie to dlaczego? Nasza militarna potęga zaszkodziłaby Rosji tylko wtedy, gdyby Rosja nas zaatakowała.

W przeciwnym razie, dezintegracja społeczna – która wiąże się z uwiądem wszystkich istotnych funkcji, które państwo powinno pełnić, ale nie pełni, bo budżet 20. gospodarki świata jest drenowany przez idiotyczne wydatki na wojnę, której nie będzie – jest w istocie rzeczy po rosyjskiej myśli.

Która wersja jest bardziej prawdopodobna?

Pomijając już niecenzuralną dyskusję o tym, dlaczego ta wojna się zaczęła i w czym ukraińska sytuacja różna jest od polskiej – rosyjska armia od czterech lat grzęźnie na Ukrainie, która nie ma wszak armii natowskiej, a jedynie część natowskiej broni. Teza, że Putin – z tym doświadczeniem – zechce zaatakować jakikolwiek kraj należący do NATO i cieszący prawdziwymi gwarancjami sojuszniczymi (czegokolwiek byśmy o nich nie myśleli) opiera się na założeniu, że jest szaleńcem. Gdyby jednak nim był, to wojna będzie atomowa i zamiast na zbrojenia, lepiej pożyczyć te 185 mld na wielką narodową balangę i wyparować w stanie błogiego upojenia, ze śpiewem na ustach.

W przeciwnym razie może czas, żeby pojawiła się siła polityczna, która będzie miała dość jaj, żeby postawić pytanie: czy naprawdę musimy wydawać jedną piątą budżetu państwa na zbrojenia – i dodatkowo zadłużyć to państwo na 45 lat? Komu służy to militarne szaleństwo?

Na taką partię zagłosuję obiema rękami.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 07bed47261

Midas w świecie menedżerów

50 proc. za nieistnienie

13 lutego weszło w życie rozporządzenie premiujące zamykanie oddziałów szpitalnych. Jak zauważył w rozmowie z PAP dr Jerzy Gryglewicz – specjalista od zarządzania ochroną zdrowia z Uczelni Łazarskiego –

Ministerstwu Zdrowia nie udały się poprzednie trzy próby zracjonalizowania szpitalnictwa przez redukcję łóżek na drodze ustawy; dlatego resort przygotował rozporządzenie stanowiące „bodziec finansowy".

Brzmi mądrze i kompletnie nie do rozszyfrowania; to eufemizm perfidii, za którą kryją się managerskie premie za zamykane oddziały.

Mechanizm jest prosty i obrzydliwie cyniczny: jeśli szpital zlikwiduje oddział, Ministerstwo Zdrowia wypłacać mu będzie przez dwa lata połowę kosztów, jakie dotychczas generował nieistniejący już oddział. To premia za kapitulację. Płatne morderstwo profilu medycznego nazywane dla niepoznaki wsparciem restrukturyzacji.

Rys. TOMASZ WIATER

Nowy przepis niewątpliwie będzie dodatkowo stymulował kreatywność managerów, którzy likwidują na potęgę już od roku. Posługując się nader odkrywczą argumentacją.

Siła wyższa, malowanie ścian, remont podłogi

Dyrektorzy, przyparci do muru przez brak kadry i długi, przestali się wygłupiać z misją ratowania życia. Na liście 539 zawieszonych lub zamkniętych oddziałów, aż 149 razy powodem była renowacja. „Renowacja podłogi", „wymiana rozdzielni", „dekontaminacja"…

To fascynujące, że polskie szpitale zaczęły się masowo remontować dokładnie wtedy, gdy NFZ przestał płacić za nadwykonania. Jak mówi ekspert Jarosław Kozera, to czysty pretekst. Śmierć pacjenta na korytarzu to prokurator; śmierć oddziału z powodu „wymiany klimatyzacji" to optymalizacja kosztów.

W styczniu 2026 r. największą ofiarą padły porodówki. Zamknięto ich 18. Ministerstwo proponuje „pokoje narodzin" przy SOR-ach – medyczny survival, projektowanie szpitalnej kurnej chaty w wersji ekstremalnej. Kobieta ma rodzić wśród kolesiów przywiezionych przez policję po bójce pod monopolowym. W tym harmidrze przypominającym skrzyżowanie baru typu mordownia z policyjnym dołkiem nikt przynajmniej nie usłyszy jej krzyków. Na cesarkę liczyć nie może, bo jedyny lekarz ceruje właśnie łuk brwiowy krewkiego miłośnika trunków. Jedyny plus, to że czekający ojciec pępkowe wypije od ręki, bo w tym towarzystwie zawsze ktoś ma przy sobie ćwiartkę.

Pacjentów w stanie wegetatywnym po „zakończeniu leczenia ostrego" można już bezkarnie i całkowicie za darmo wystawić za drzwi. Jeśli kółka łóżka przekroczą granicę terenu szpitala i wjadą w obszar gminy, problem znika z managerskiego bilansu. Niech wójt lub sołtys martwią się o człowieka, na którego państwo nie ma już ryczałtu.

Patron jako amunicja

Nasz redakcyjny sztab ratunkowy opracował jednak metodę obrony dla zdesperowanych ordynatorów. Tych archaicznych Judymów w kitlach, co to potrafią leczyć, ale kreatywne liczenie jest im obce, bo wbili im do głów, że dwa plus dwa to cztery – podczas gdy nowoczesny manager, niekiedy z przysposobieniem medycznym, wie, że dwa plus dwa to musi być sześć, bo gdy wyjdzie pięć, to już się nie opłaca.

Opracowaliśmy strategię obrony opartą na tym, co w Polsce jest nienaruszalne: sacrum. Chcesz uratować oddział? Zastosuj pancerz ze świętości. Instrukcja jest prosta: należy nadać oddziałowi imię. Najlepiej św. Jana Pawła II, ewentualnie innych świętych, a nawet żołnierzy wyklętych – wersja słabsza, ale przecież każdy oddział tego samego szpitala nie może mieć tego samego patrona. Oczywiście potrzebne jest kilkaset tysięcy, żeby wyłożyć na uroczyste poświęcenie przez biskupa i zatrudnić ze dwóch kapelanów na oddział. W polskim systemie istnieją również materialne nietykalne wartości, takie jak pensje kapelanów pokrywane z pieniędzy na leki. Kościół nie podaruje redukcji etatu dla swojego, a ministerstwo nie zaryzykuje wojny religijnej.

W narodowej świadomości historia chrześcijaństwa miała tylko jednego Papieża i nic, co nosi Jego imię, nie zostanie „wygaszone". Słowo „patron" w języku rosyjskim oznacza nabój. W Polsce imienny patron działa identycznie – to amunicja, którą ordynator może wystrzelić w stronę managera i urzędnika z NFZ. Zlikwidowanie oddziału pod takim wezwaniem jest politycznie wysoce ryzykowne. To metoda na to, by w kraju, gdzie czołgi są ważniejsze od inkubatorów, utrzymać przy życiu niejedno łóżko.

PIOTR JASTRZĘBSKI

Żaba już ugotowana

Można dziś odnieść wrażenie – nie będę mówił, kto i co – że Polska nie jest krajem, z którym się rozmawia, lecz krajem, o którym się komunikuje. To różnica subtelna, lecz zasadnicza. Z krajem, z którym się rozmawia, prowadzi się dialog. Kraj, o którym się komunikuje, jest odbiorcą komunikatu. Jednokierunkowego.

Teraz głos zabiera sam premier, że sojusznicy powinni się szanować. Rodzi się zatem podejrzenie, że ten szacunek nie jest oczywisty. Być może jest niesymetryczny. Brak szacunku nosi imię pogardy. I co z tego wynika? Ano nic. Dalej będziemy udawać, że jesteśmy równoprawnym partnerem, a oni będą nas klepać po plecach i mówić: *good boy*.

Guantanamo w Kiejkutach

Pytanie, czy Polska jest państwem niezależnym od Stanów Zjednoczonych, pojawia się dziś coraz częściej. Nie jest nowe. Jeśli dobrze pamiętam, po raz pierwszy stanęło ono jakieś ćwierć wieku temu. Rozmawiałem o tym z Aleksandrem Kwaśniewskim. I on rzekł z właściwą sobie pewnością: „Żadnych amerykańskich więzień w Polsce nie było". Już miałem odetchnąć z ulgą, kiedy prezydent dodał coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że zamiast ulgi poczułem lekki niepokój metodologiczny. „Nie zapominajmy" – mówił – „że jesteśmy sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, które prowadzą walkę z terroryzmem. Terroryzmem, który pogrzebał pod gruzami World Trade Center tysiące niewinnych Amerykanów".

Pomyślałem: dlaczego on to mówi? Dlaczego jakby się tłumaczył, skoro – jak sam twierdzi – nie ma z czego? To trochę tak, jakby ktoś zapewniał: „Nie ukradłem roweru. A poza tym pamiętajmy, że złodzieje są źli, a rowery często giną w tragicznych okolicznościach".

Niestety, po latach okazało się, że nasz najlepszy w historii prezydent jednak się pomylił. Albo był niedoinformowany. Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał bowiem, że Polska naruszyła Europejską Konwencję Praw Człowieka, współpracując z CIA, nie chroniąc osób przetrzymywanych na swoim terytorium. W ramach prowadzonej przez Stany Zjednoczone wojny z terroryzmem CIA realizowała program tajnych ośrodków detencyjnych (*black sites*) poza terytorium USA. Jeden z nich miał być w Starych Kiejkutach. Miejsce, w którym – jak się okazało – polska konstytucja kończyła się na bramie, a dalej zaczynała się jurysdykcja sojusznicza. Nie było to nawet prawo amerykańskie. Bo prawo amerykańskie nie pozwala na torturowanie więźniów. Dlatego też nie mówiono o torturach. Mówiono o „wzmocnionych technikach przesłuchań". To była już sprawa ustroju państwa.

Ustawa zza oceanu, obowiązek nad Wisłą

Kolejnym skandalem, który dotychczas nie został tak nazwany, a dawno powinien, jest amerykańska ustawa FATCA z 2010 r. (Foreign Account Tax Compliance Act). Jej celem było zmuszenie banków do raportowania danych o klientach powiązanych z USA. W praktyce: albo przekazujecie dane, albo obciążymy każdy przelew dolarowy 30-procentowym haraczem. W Polsce oznacza to, że przy zakładaniu konta bankowego musisz złożyć oświadczenie, że nie

MÓŻDŻEK TYGODNIA

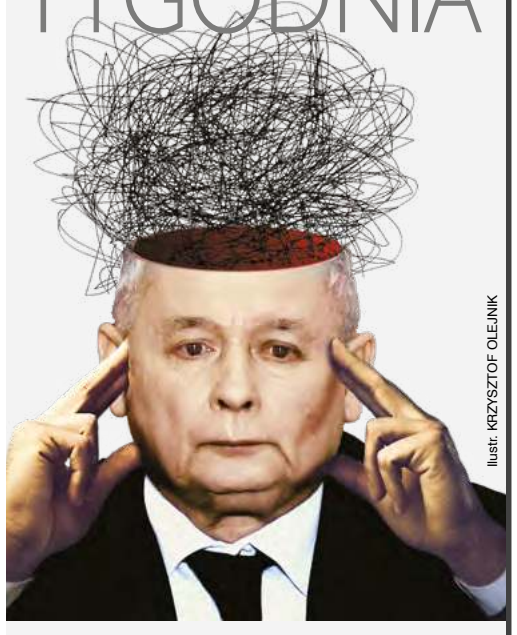
Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wobec postępującej obsesji na punkcie jednoczenia Europy pod przewodem Niemiec prezes Jarosław Kaczyński zgodził się poddać regresji hipnotycznej. Zaprzyjaźniony pisowski psychiatra najpierw pod przysięgą zobowiązał się zachować milczenie, a potem wprowadził pacjenta w trans.

Kaczyński cofnął się aż do roku 1953, gdy miał cztery latka i bawił się w żoliborskiej piaskownicy. W towarzystwie brata stawiał babki z piasku, oczywiście myśląc o Polsce. Osiedlowym chuliganem był starszy o rok Henryczek, który z bezecnym błyskiem w oku miał okropny zwyczaj burzyć babki wzniesione przez małych Kaczyńskich.

Tamtego przedpołudnia piasek był wprost stworzony do babek. Czteroletni Jareczek stawiał już piątą, gdy Henryczek dobył szpadelka i jedną po drugiej rozwalił wszystkie, uderzył małego Kaczyńskiego w siusiaka, a na koniec bezczelnie się roześmiał.

– Henryczku! – zawołała mama łobuziaka, wychylając się z okna samochodu. – Koniec zabawy! Jedziemy na zakupy.

Henryczek otrzepał się z piasku i pobiegł do samochodu. To był niemiecki Volkswagen, popularny Garbus.

73 lata później Jareczek będzie pamiętał tamten poranek, tamtą piaskownicę, bolącego siusiaka, Henryczka, jego mamę i jej niemieckie auto, dlatego powie: „Niemcy to jest państwo postnazistowskie. Takie państwo powinno siedzieć w kącie i przepraszać, że żyje, a nie próbować przewodzić Europie".

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Ciocia z Ameryki

Administracja Trumpa sypnie groszem i wartościami

W połowie lutego w ramach misji dyplomatycznej z okazji 250-lecia USA do kraju nad Wisłą wpadła amerykańska podsekretarz stanu ds. dyplomacji publicznej i spraw publicznych Sarah B. Rogers. Wizyta polityk była częścią szerszego tournée obejmującego Irlandię, Węgry i Niemcy mającego na celu promowanie USA, wolności słowa, wolności cyfrowej oraz bezpieczeństwa informacyjnego. W rozumieniu amerykańskim oczywiście.

Cmok w krok

Wysoka urzędniczka Departamentu Stanu pojawiła się w towarzystwie ambasadora USA Toma Rose'a w Kancelarii Prezydenta RP, tuż przed posiedzeniem Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Amerykanie spotkali się w pałacu z Agnieszką Jędrzejak, podsekretarz stanu w KPRP odpowiedzialną m.in. za Polonię i Polaków za granicą oraz politykę pamięci historycznej. Spotkanie dotyczyło współpracy przy realizacji projektów związanych z polityką pamięci właśnie. Z panią Rogers spotkał się także sekretarz stanu w Ministerstwie Cyfryzacji Dariusz Standerski. Jak wynika z informacji ministerstwa, omówiono wsparcie innowacji i rozwoju gospodarki cyfrowej, współpracę w obszarze bezpieczeństwa oraz znaczenie spójnych i jednolitych regulacji w Unii Europejskiej. Standerski nie pochwalił się, czy wizytatorka zza oceanu zrozumiała, że regulacje krajowe i unijne w obszarze cyfrowym to nie łamanie wolności słowa, a szkoda. Wizyta Sarah B. Rogers to nie tylko kurtuazja i wymiana dyplomatycznych uprzejmości. Rogers to twarz kampanii wrogości administracji Trumpa wobec europejskich liberalnych demokracji.

Stanowisko podsekretarza stanu ds. dyplomacji publicznej jest jednym z 10 najważniejszych w amerykańskim Departamencie Stanu. Zostało utworzone w 1999 r. w celu zacieśniania relacji między obywatelami USA i państw trzecich w odróżnieniu od relacji między rządami państw obcych i dyplomatami. Rogers postawiła na zdobycie przychylności bardzo konkretnej grupy zagranicznej opinii publicznej. Od momentu objęcia stanowiska w październiku 2025 r. uściski dłoni wymienia przede wszystkim z przedstawicielami skrajnej prawicy w Europie. W grudniu 2025 r. spotkała się z Markusem Frohnmeierem, posłem do Bundestagu i rzecznikiem ds. polityki zagranicznej z niemieckiej AfD. Była również konferencyjka z przedstawicielami prawicowo-populistycznej partii Nigela Farage'a Reform UK w Wielkiej Brytanii. W lutym Rogers wzięła udział w organizowanym przez Hungarian Institute od International Affairs panelu Budapest Global Dialogue, gdzie debatowała z Balázsem Orbánem (dyrektorem politycznym gabinetu Viktora Orbána).

Na wszystkich spotkaniach omawiano transatlantycką współpracę, promowanie „amerykańskich wartości", problem cenzury i kwestię wolności słowa. Wizyty miały charakter dyplomatyczny, ale były szeroko krytykowane jako ingerencja i wsparcie dla radykalnej prawicy. Nie bez przyczyny.

Rogers zarządza specjalnym funduszem grantowym Departamentu Stanu w wysokości 667 mln dol. Oficjalnie kasa ma zasilać realizację programów kulturalnych, edukacyjnych i infor-

eprasa.pl 07bed47261

Polska: Made in USA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

jesteś obywatelem USA, nie masz tam rezydencji i nie podlegasz amerykańskiemu fiskusowi. Twoje dane i tak trafiają za pośrednictwem polskich instytucji do administracji Stanów Zjednoczonych. To ciągły stan prawny, który ingeruje w polską suwerenność państwową do dziś.

Stany Zjednoczone eksportują swoje prawo w sposób cichy i bez flag, a jednak obowiązuje ono de facto w Polsce. Np. programy sankcyjne OFAC (Office of Foreign Assets Control). W praktyce oznaczają, że bank w Polsce musi zablokować przelew, konto albo całą działalność klienta, bo tak stanowi amerykańska lista sankcyjna – choć prawo polskie niczego takiego nie wymaga. Wystarczy znaleźć się na liście Departamentu Skarbu USA i forsa w polskim banku może zostać zamrożona. Bez wyroku polskiego sądu, bez postępowania, bez prawa do obrony. W klasycznym rozumieniu państwa prawa taka sytuacja nosiłaby nazwę bezprawia.

Sądy wasze i nasze

A jak wygląda sprawa procesów sądowych w USA za czyny popełnione w Polsce; procesów, których wynik ma być potem respektowany przez polskie sądy? Politycznie niepoprawny przykład: córka Włodzimierza Cimoszewicza pozwała tygodnik „Wprost" przed sąd amerykański za naruszenie dóbr osobistych. Ze strony „Wprost" nikt się w USA nie pojawił, bo trudno oczekiwać, żeby polska redakcja jeździła po świecie i broniła się przed obcą jurysdykcją. Wyrok zapadł więc bez udziału strony pozwanej. Następnie został w Polsce uznany. Sąd krajowy nie wnikał w sens całego postępowania, ograniczył się jedynie do zmniejszenia kwoty odszkodowania. Zatem procedura była amerykańska, wyrok amerykański, a polski sąd pełnił funkcję notariusza cudzej decyzji.

Podobnie procedowane bywają roszczenia reprywatyzacyjne czy sprawy o naruszenie praw autorskich i patentów. Polskie firmy i instytucje bywają pozywane w USA za działania, które wydarzyły się w Polsce, zgodnie z polskim prawem, ale podlegają amerykańskiej jurysdykcji, bo tak skonstruowano przepisy pod dyktando globalnego hegemona. Trudno o lepszą ilustrację sytuacji, w której niezawisłość polskiego sądownictwa funkcjonuje, owszem, ale w granicach wyznaczonych przez cudze orzecznictwo.

Do tego dochodzi jeszcze SOFA (Status of Forces Agreement), czyli umowa regulująca status wojsk USA w Polsce. W praktyce oznacza ona, że amerykańscy żołnierze nie podlegają polskiej jurysdykcji, tylko amerykańskiej. Jeśli więc jakiś Abrams staranuje drzewo, płot albo fragment lokalnej infrastruktury albo gdy dochodzi do poważniejszego incydentu, sprawa nie trafia do polskiego sądu, lecz do amerykańskiej procedury wojskowej. Na papierze to partnerstwo sojusznicze. W praktyce – oddzielna jurysdykcja na terytorium państwa, które formalnie jest gospodarzem.

Politycy w sieci, dane w USA

Przejdźmy do spraw naprawdę grubego kalibru. Otóż

coraz mniej zauważalnym, a jednocześnie coraz bardziej nieodwracalnym zjawiskiem stało się to, że polskie państwo komunikuje się ze społeczeństwem za pomocą amerykańskich mediów społecznościowych.

Ministrowie, ministerstwa, posłowie, senatorowie, wójtowie, burmistrzowie, kandydaci na prezydenta, a potem sami prezydenci, ich kancelarie, rzecznicy, urzędy i agencje – wszyscy przemawiają do narodu przez X, Facebooka, YouTube'a i Instagrama. Gdyby nie to, że te platformy należą do korporacji zarejestrowanych w Dolinie Krzemowej, można by pomyśleć, że to jakiś państwowy system informacyjny. Mamy quasi-państwo operujące w obcym ekosystemie.

W normalnym kraju, który choćby od czasu do czasu udaje, że ma wywiad i kontrwywiad, taka sytuacja powinna wywoływać alarm: co wy, do cholery, robicie? Ale alarmu nie ma. Bo system działa. Tyle że nie wiadomo dla kogo.

Efektem tej komunikacji są dziesiątki tysięcy komentarzy, lajków, udostępnień – ogromne zbiory danych, które działają jak społeczny sejsmograf. Lepszy niż niejeden CBOS, IBRiS czy GUS. Nastroje, emocje, frustracje, reakcje – wszystko dostępne w czasie rzeczywistym. Dane te trafiają oczywiście do chmur obliczeniowych Amazon Web Services, Microsoft Azure i Google Cloud, czyli do serwerowni kontrolowanych przez USA.

I tu wchodzi na scenę Patriot Act/Cloud Act – pakiet przepisów, który pozwala rządowi USA na dostęp do danych przechowywanych przez amerykańskie firmy, nawet jeśli fizycznie znajdują się w Niemczech, Irlandii czy Polsce. Dostęp ten może być cichy, pozasądowy, uprzedzający. To już nawet nie jest jurysdykcja transgraniczna – to własność strategiczna rozszerzona na cudze dane.

Do tej pory można było się pocieszać, że analiza tych danych odbywa się maszynowo, przez algorytmy – czyli powierzchownie, schematycznie, z marginesem błędu. Ale ten margines właśnie zniknął. Bo na scenę wchodzi sztuczna inteligencja, również amerykańska, której Europa – i Polska – ani nie ma, ani mieć nie będzie. Jeśli kiedyś będziemy się zastanawiać, kiedy dokładnie przestaliśmy być suwerenni, warto sprawdzić, kiedy ostatni raz polski minister wydał komunikat państwowy bez logowania się na platformie należącej do spółki z Nasdaq.

Jak Microsoft uzależnił Polskę od swojego oprogramowania

Zapewne słyszeliście, że pojawił się projekt, by po 40 latach polskie urzędy uniezależniły się od produktów Microsoftu, czyli od edytorów tekstu, arkuszy i całego biurowego ekosystemu, który jest amerykański i pozostaje pod kontrolą Waszyngtonu. Pomysł brzmi pięknie, tylko że jest spóźniony o epokę i w dodatku w dużej mierze nierealny.

Jesteśmy bowiem uzależnieni od spadkobierców Billa Gatesa na długie lata, jeśli nie pokolenia. Polityka polegająca na tym, że dzieci w szkołach i studenci na uczelniach dostają Worda i Excela niemal darmo, nie jest aktem dobroczynności. To strategia uzależnienia – najpierw darmowa próbka, potem całe państwo pracuje już tylko w tym systemie, bo nic innego nie zna i nie umie.

Jeszcze dziś część ludzi pracuje na tych aplikacjach lokalnie, na własnych komputerach. Ale trend jest jasny: wszystko ma trafić do chmury. I tam trafi. Każdy artykuł, każdy mail, każde pismo procesowe, każda kalkulacja biznesowa powstanie wprawdzie na klawiaturze w polskim biurze, ale zapisze się na serwerze gdzieś w Irlandii albo w innym centrum danych należącym do amerykańskiej korporacji.

A z tymi danymi właściciel infrastruktury może zrobić bardzo wiele. Kwestia praw autorskich i pełnej kontroli użytkownika to w tym modelu raczej uspokajająca legenda niż realna gwarancja. Państwo, które swoje dokumenty, korespondencję i obieg informacji trzyma na cudzych serwerach, nie tyle pracuje w chmurze, co funkcjonuje w cudzym systemie operacyjnym.

Aha, jeszcze jedno: używacie narzędzi Google'a: Gmaila, map, całej tej wygodnej, kolorowej infrastruktury codzienności? A zastanawialiście się kiedyś, co stanie się z waszymi mailami po śmierci? A jeszcze wcześniej – co dzieje się z nimi teraz?

Naprawdę wierzycie, że są szyfrowane, nietykalne i trafiają wyłącznie do adresata? Błagam – trochę litości dla zdrowego rozsądku i mniej tej cyfrowej naiwności. Trzeba by być świętym albo kompletnie niepoważnym, żeby mieć przed sobą takie zasoby danych, takie skarby informacji o ludziach, ich kontaktach, słabościach, relacjach i interesach i do nich nie zajrzeć, bo „etyka nie pozwala".

Ameryka podbija Polskę bez jednego wystrzału

Idę sobie ostatnio z kolegą Staneckim (zwanym Stanleyem) po Warszawie. Stanley wrócił na chwilę z Teksasu, gdzie pracuje dla Bell Textron (dawniej Bell Helicopter), żeby zobaczyć, jak się Polska zmieniła. Spacerujemy Krakowskim Przedmieściem, potem Nowym Światem. On rozgląda się uważnie i po chwili mówi: – Wiesz co, czuję się jak bym nigdy nie wyjechał.

Patrzę zdziwiony. – Jak to? Przecież jesteś po raz pierwszy w kraju od 30 lat!

A on pokazuje palcem: McDonald's, KFC, Starbucks, Pizza Hut, Subway, Burger King… Coca-Cola, Pepsi, Dr Pepper. Tu masz Gillette, tam Oral-B, tu Nike, Levi's, Guess. VISA, MasterCard, JP Morgan, Boston Consulting. A na koniec Uber cię odwiezie.

– No przecież wy już jesteście 51. stanem USA. Tylko paszporty wam się jeszcze nie zmieniły. Ale reszta? Zintegrowana bardziej niż Portoryko. To przecież jest, kurwa, jakaś Republic of Vistula, GodBlessovia, Free State of McPoland…

My tu nie uprawiamy ksenofobii. Polska ma być krajem otwartym, nowoczesnym, połączonym ze światem. Ale trudno nie zauważyć, że pewne sprawy zaszły za daleko. I w tym miejscu niestety pojawia się trafne skojarzenie – syndrom gotującej się żaby: „dla dobra rozwoju", „na rzecz integracji", „w imię sojuszy". Temperatura suwerenności spadła poniżej punktu alarmowego, a polska żaba nie ma już siły wyskoczyć z amerykańskiego garnka.

ROBERT JARUGA

macyjnych. Wiewiórki donoszą, że w praktyce będzie wykorzystywana do finansowania prawicowych europejskich organizacji i ich think-tanków. Cel? Podważenie polityki lokalnych rządów, z którymi Waszyngtonowi jest nie po drodze.

Wycieranie gęby

Administracja Trumpa ma osobisty interes we wzmacnianiu ruchów antydemokratycznych za granicą, bo zwyczajnie pomaga to w realizacji jej własnych planów. Szeroko rozumiana troska o wolność słowa to w tym wypadku jedynie frazes.

Rogers chętnie wynosi na sztandary walkę z cenzurą, choć trudno znaleźć spójność jej poglądów z polityką rządu, który reprezentuje. Pani podsekretarz stanu wielokrotnie krytykowała europejskie rządy (głównie Wielką Brytanię) za karanie osób wyrażających poparcie dla Palestyny. Podkreślała, że ściganie ludzi jedynie za wyrażanie wsparcia osłabia walkę z dezinformacją. Pełna zgoda. Kłopot polega na tym, że jeśli się przyjrzeć wyskokom amerykańskiej administracji względem protestujących w tej samej (słusznej) sprawie, może zmarszczyć się dupa. W USA poparcie dla Palestyny w kontekście niezgody na gruzowanie Gazy i ludobójstwo, choć formalnie chronione pierwszą poprawką konstytucji, spotkało się z ostrymi represjami. Protestujących pokojowo studentów relegowano z uniwersytetów, cofano im dyplomy, wizy, a w wielu przypadkach aresztowano i zwyczajnie deportowano z kraju. Nie przeszkodziło to Rogers w wygłaszaniu opinii, że Europa batoży za wspieranie Palestyny, podczas gdy prawdziwi przestępcy unikają kary. Którzy? Oczywiście imigranci. „Zwolennicy nieograniczonej imigracji z Trzeciego Świata od dawna kontrolują nieproporcjonalnie dużą część produkcji wiedzy" – napisała w swoich social mediach. „Niemcy niesławnie zachowały bardzo niewielu Żydów, a jednak sprowadziły hordy barbarzyńskich gwałcicieli (…) za czasów Merkel. Nawet dzisiaj Niemcy tłumią opozycję polityczną, która na to wskazuje" – uzupełniła. Trump i Rogers mają w dupie problemy z dezinformacją i mową nienawiści, wszak sami z tych „dóbr" korzystają. Pieprzenie o globalnym reżimie cenzury to fortel do walki z europejskimi regulacjami cyfrowymi. Polska może w niej odegrać kluczową rolę.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pożyteczni idioci

Big techy (Google, Meta, X, Amazon czy Microsoft) to filary gospodarki amerykańskiej. Generują gigantyczne przychody i mówiąc kolokwialnie, pozwalają trzymać w żelaznym uścisku uzależnienia technologicznego użytkowników – od przeciętnego Kowalskiego po rządy. Bruksela postanowiła skończyć z bezkarnym dymaniem unijnych obywateli przez cyfrowych gigantów i nałożyła na platformy cyfrowe kilka obowiązków. Nakazała transparentność algorytmów, usuwanie treści o charakterze mowy nienawiści, treści pedofilskich itd. Za złamanie zasad zagroziła molochom karami do 6 proc. globalnego obrotu. Pstryczek w modele biznesowe i osłabienie amerykańskiej dominacji technologicznej zabolał. Stany Zjednoczone natychmiast uznały to za antyamerykański protekcjonizm i eksterytorialną cenzurę. W strategii narodowego bezpieczeństwa USA z 2025 r. podkreślono zatem potrzebę kultywowania oporu w UE przeciw takim regulacjom, by chronić cyfrową suwerenność Ameryki.

Amerykańskie wartości, o których pieją Trump i Rogers, to wolność słowa bez rządowej ingerencji, która ma kontrastować z brukselską biurokracją. Główny cel to uwalenie unijnego Aktu o usługach cyfrowych (DSA). Tego samego, którego nie podpisał prezydent Karol Nawrocki.

Stany Zjednoczone pochwaliły weto Nawrockiego jako walkę z cyfrową cenzurą Brukseli. Jako że polski prezydent jest wybitnie sceptyczny w stosunku do Unii Europejskiej, USA mogą (i częściowo już to robią) wykorzystać kraj nad Wisłą do osłabienia egzekucji regulacji w Radzie UE, gdzie Polska ma głos blokujący. Dyplomacja, finanse i lobbing pozwolą skleić sojusz z prawicą i wzmocnić narrację Stanów o lewackiej cenzurze. To zaś może zainspirować inne kraje – szczególnie Grupy Wyszehradzkiej – do podobnych blokad, tworząc coś na kształt frontu wschodniego przeciwko Brukseli. Przeciągnięcie chaosu regulacyjnego do 2027–2029 roku, kiedy odbędą się wybory we Francji, w Polsce i Niemczech, zadziała tylko na korzyść najeźdźcy zza oceanu.

Swoboda wypowiedzi i podejmowania decyzji kończy się tam, gdzie zaczyna interes Wuja Sama. Polska na amerykańskiej smyczy już szczeka po angielsku.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 07bed47261

Bezrobotni i niepotrzebni

Tryby państwowej pogardy

Rządowi Tuska coś się pomieszało i zamiast likwidować bezrobocie, ograniczył pomoc dla wydymanych przez rynek pracy. Samorządy poznały limity środków na działania związane z promocją zatrudnienia, aktywizacją zawodową i szeroko pojętym łagodzeniem skutków bezrobocia na 2026 r. Zgodnie ustawą budżetową na wyżej wymienione cele zaplanowano 2,1 mld zł. To o 1,5 mld mniej niż w 2025 r. Jeszcze jesienią ubiegłego roku kierowane przez Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej zwracało się do Ministerstwa Finansów o zwiększenie puli dla urzędów pracy, jednak bezskutecznie. Minister Andrzej Domański położył laskę na mało reprezentatywnym odłamie społeczeństwa i zakręcił kurek. Okoliczności tej decyzji są – delikatnie mówiąc – niejasne.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Komu ogryzek?

Kasa na aktywizację bezrobotnych pochodzi z Funduszu Pracy finansowanego ze składek pracodawców. Środki FP przeznacza się m.in. na wypłatę (głodowych) zasiłków dla bezrobotnych, wszelkiej maści dodatków aktywizacyjnych, staże, prace interwencyjne czy jednorazowe transze na rozpoczęcie działalności gospodarczej. Co ciekawe, zgromadzonych na funduszu pieniędzy nie trzeba wydawać w tym samym roku, dzięki czemu górka rośnie. Na początku 2026 r. na jego rachunkach miało się znajdować 25,5 mld zł. Prognozowane wpływy w ciągu roku mają sięgnąć blisko 12 mld. Koślawy manewr Ministerstwa Finansów zbiegł się z wejściem w życie nowej ustawy o rynku pracy i służbach zatrudnienia. W marcu 2025 r. przyklepano przepisy, na których mocy powiatowe urzędy pracy miały wreszcie skutecznie aktywizować nie tylko bezrobotnych, ale też osoby bierne zawodowo – młodzież, seniorów, osoby z niepełnosprawnościami czy kobiety po urlopach macierzyńskich. W Strategii Rozwoju Polski do 2035 r. znalazł się nawet zapis, że służby zatrudnienia staną się „bardziej elastyczną i skuteczną organizacją". Srali muchy. Choć na papierze zwiększyła się liczba osób uprawnionych do korzystania z dostępnych form wsparcia i same jego kwoty, urzędy i ich petenci zostali wydymani bez mydła.

70 zł miesięcznie

2,1 mld zł to dopiero początek złych wiadomości. Realna suma przekazana samorządom do PUP i WUP zamknęła się w kwocie 1,7 mld zł. Różnica wynika z obowiązku odliczenia rezerwy dysponenta Funduszu Pracy. Ta wynosi zwykle 10–20 proc. puli i służy na nieprzewidziane wydatki, korekty algorytmu podziału lub inne cele ministerstwa (np. programy centralne). Biednemu zawsze wiatr w oczy i prącie w plecy. Z okrojonych ochłapów trzeba jeszcze szarpnąć ponad miliard złotych (w skali kraju) na obowiązkowe współfinansowanie projektów unijnych z Europejskiego Funduszu Społecznego Plus (EFS+). Wskutek tego dla 800 tys. bezrobotnych zostaje raptem 700 mln zł kasy krajowej.

Dla wyjaśnienia. Unijne środki EFS+ są kierowane do konkretnych grup, jak osoby 30 plus długotrwale bezrobotne czy z terenów wiejskich. Nie można ich dowolnie przesuwać – w przeciwieństwie do forsy z Funduszu Pracy. Projekty muszą być współfinansowane ze środków krajowych w wymiarze 10–20 proc. wkładu własnego. Ten pochodzi z FP i budżetów samorządowych. Cięcia w funduszu oznaczają, że urzędy mają mniej pieniędzy na wkład i stawiają pod znakiem zapytania realizację projektów unijnych. Na resztę krajowych celów aktywizacyjnych w przeliczeniu wychodzi niecałe 850 zł rocznie na łeb. Dla porównania miesięczne stypendium stażowe wynosi 2700 zł...

Nie dla psa kiełbasa

Samorządowcy podkreślają, że obcięcie środków na aktywizację zawodową najbardziej uderzy w osoby długotrwale bezrobotne, mieszkańców obszarów o słabej kondycji gospodarczej, w tym wielu gmin miejskich. Na szczęście z bańki ministra Domańskiego nie widać obywateli, dla których programy finansowe z Funduszu Pracy często stanowią jedyną realną formę wsparcia w znalezieniu zatrudnienia. Czego nie widać, tego sercu nie żal.

Urzędy pracy zaczęły już gospodarzyć otrzymanymi pieniędzmi, by nie powiedzieć: gównem zrzuconym z pańskiego stołu. Skutki są smarkate. Staże są skracane z 6–12 miesięcy do trzech miesięcy, a w skrajnych przypadkach wstrzymano nowe nabory. W wielu urzędach zablokowano lub ograniczono dotacje na działalność gospodarczą. Po brzytwie spuszczono szkolenia i kursy podnoszące kwalifikacje. Zarząd Związku Powiatów Polskich postawił pytanie, dlaczego kasa wpłacana przez pracodawców na fundusz, który ma budować miejsca pracy i kompetencje polskich pracowników, nie jest wykorzystywana? Resort finansów milczy.

Wiewiórki donoszą, że priorytetem budżetowym na 2026 r. są rekordowe wydatki na obronność, ochronę zdrowia oraz – oczywiście – programy społeczne: 800 plus, 13. i 14. emerytury i program Aktywny Rodzic. Tymczasem statystyki z Wojewódzkich Urzędów Pracy i Głównego Urzędu Statystycznego nie pozostawiają złudzeń.

Rok 2025 był najtrudniejszym okresem dla pracowników od czasu globalnego kryzysu z lat 2008–2009. Do urzędów pracy w całym kraju wpłynęły zgłoszenia dotyczące zamiaru likwidacji 97,6 tys. etatów. Blisko trzykrotnie więcej niż w 2024 r.

Wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej Sebastian Gajewski zadeklarował, że w ciągu roku odbędą się rozmowy z Ministerstwem Finansów na temat korekty finansów funduszu. Do tego czasu bezrobotni zjedzą bezdomnych. Z korzyścią dla 20. gospodarki świata.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Urban wiecznie żywy

Tygodnik „NIE" trendsetterem i niedoścignionym wzorem

Luty 2026 r. należy do Urbana i „NIE". Pojawiamy się w zaskakujących okolicznościach i kontekstach, co udowadnia, że plotki o naszej śmierci po zgonie ojca założyciela są przesadzone. Żyjemy – zwłaszcza w prawicowym imaginarium. Pisowcy i okolice manifestacyjnym obrzydzeniem maskują fascynację Urbanem, jego tygodnikiem i stylem, który nieudolnie naśladują, jednocześnie wypierając się lektury.

Solidarność walcząca

Prawie pół wieku minęło, a Solidarność dalej walczy z Urbanem. Konkretnie „Tygodnik Solidarność". Powstałe w 1981 r. pismo może poszczycić się tym, że jego naczelnym był przez krótki czas Jarosław Kaczyński, także cichy wielbiciel „NIE", który przypisuje nam więcej zasług dla Polski, niż sami uważamy, że mamy. „Tygodnik Solidarność" dał na okładkę cybernetycznego Urbana i tytuł „Urbanizacja Polski". Już tą grą słów nawiązują do stylu „NIE". My tę „urbanizację" rozumiemy jako walkę z wiochą, którą robi polska prawica. Oni – jako upadek etosu. I jak zazwyczaj się mylą. Okładkowy tekst napisała Monika Małkowska – oprócz dziennikarstwa parająca się także krytyką sztuki. Zareklamowała swój tekst na Facebooku, opatrując go – jak na wielbicielkę sztuk wizualnych przystało – albumem okładek „NIE" oraz zdjęć świetnej pamięci pierwszego naczelnego. Cieszymy się, że fachowym okiem doceniła talenty naszych grafików.

Red. Małkowska wywodzi że „oni wszyscy z niego" – cały krajobraz medialny III RP został wykreowany przez Urbana, a dzisiejsze tuzy propagandy to popłuczyny po nim. „To od niego czerpano wzorce uprawiania inżynierii społecznej opakowanej w efektowną publicystyczną retorykę. On dał przykład, jak w plotkę wplatać cienki wątek prawdy – przy czym prawda ginęła w gąszczu »sensacji« suflowanych przez zakumplowanych z nim byłych esbeków. Nauczył, jak rozgrzewać emocje do czerwoności, napuszczać pół Polski na drugą połowę i ostatecznie zawiadować całością. Oto on: Jerzy Urban, zmarły niecałe 4 lata temu w zacnym wieku 89 lat. Pochowany na Powązkach Wojskowych w splendorze, na jaki z pewnością nie zasługiwał. Psuj-charakter, piewca antypolskości, wierny wyznawca komunizmu, zdeklarowany nienawistnik Solidarności. Zarazem – postać fascynująca, taki współczesny Mefisto… Choć może to przesadny komplement" – pisze Małkowska. Nietrudno zauważyć w tym podziw z kamuflującą go puentą, bo takiej laurki by nie puścili w pisowskim pisemku. Urban był skromniejszy i miał więcej dystansu do siebie niż jego prawicowi psychofani. Mimo wszystko dobrze, że pielęgnują pamięć o nim z nie mniejszym niż my pietyzmem.

„Do tego Urban i jego »Nie«, wyznaczyli nowe standardy formalne. Dosadny język, żarty »z grubej rury«, dezawuowanie autorytetów plus sprytnie rozsiewana dezinformacja stały się spécialité de la maison Urbanowego tygodnika. Z upływem lat »Nie« zainfekowało media głównego nurtu. Z pewnością też przyczyniło się do powszechnej akceptacji słownego ścieku w mediach społecznościowych" – wylicza Małkowska, a to dopiero początek naszych zalet. Chyba jeszcze większy ból dupy niż o przewagę intelektualną Monika Małkowska ma o imprezy w domu Urbana i Daniszewskiej, na które widocznie nie była zapraszana, co jest być może źródłem jej resentymentu. „Ich domostwo w Konstancinie słynęło z wystawnych przyjęć, na których spotykali się prominenci, świeżo upieczeni biznesmeni, a także twórcy i dziennikarze, którzy dodawali parze artystowskiego blichtru. Ze wszystkimi szybko zawierali sztamę, przechodzili na »ty« i… ich upijali" – podnieca się publicystka. W tej dziedzinie pałeczkę Urbana przejęło Ordo Iuris, zatem i dla Małkowskiej nie wszystko stracone.

„NIE" paliwem Obajtka

Wielkim afektem pała do nas również Daniel Obajtek. „Jutro przed Komisją Prawną w Parlamencie Europejskim będę odpowiadał – uwaga – za wycofanie ze stacji jeszcze jako prezes Orlenu – jednego numeru tygodnika »NIE«, który obrażał uczucia religijne. Rząd w Polsce chce za wszelką cenę zniszczyć prawicę" – napisał (po polsku i angielsku) na platformie X były prezes Orlenu. Dołączył do tego filmik, na którym prezentuje inkryminowaną okładkę z JP2 trzymającym pastorał z przybitym do niego dzieckiem. Nie jest to pierwszy raz, kiedy Obajtek wymachuje tą okładką, chyba zawsze ma ją przy sobie. Jedni noszą zdjęcia dzieci w portfelu, inni okładkę „NIE". Nagranie na swoim Facebooku udostępniło Radio Maryja, dzięki czemu pod moherowymi beretami się zagotowało na widok bluźnierczego obrazka. – Za tą okładkę chcą mi zabrać immunitet i docelowo wtrącić mnie do więzienia. Nigdy się nie poddam. Właśnie byłem na wysłuchaniu komisji prawnej, udzieliłem wszelkich wyjaśnień. Nigdy się nie poddam. Nie będą kopać mnie. Nie będą kopać naszych uczuć. Zawsze będę z nimi walczył – relacjonował potem pan Daniel. Wynikałoby z tego, że Obajtek będzie walczył z uczuciami, ale to raczej sprawka kulawej polszczyzny właściwej prawdziwym Polakom. Zęby można sobie zrobić, z językiem jest większy kłopot.

– Jedynie przez takie media, jak Radio Maryja i TV Trwam – mimo że jesteście kopani, niszczeni – możecie państwo pokazać faktycznie, co się dzieje w Polsce, w Europie – mówił Obajtek, prezentując „NIE". Możemy to uznać za przekaz podprogowy: Obajtek w zawoalowany sposób pokazuje nas jako jedyne wiarygodne medium, wymachując numerem tygodnika. Sam dyrektor Radia Maryja także nas docenił, opisując wpływ „NIE" na intelektualną elitę Polski. – „Gazetę Wyborczą", pamiętam, można było znaleźć wszędzie, nawet w większości seminariów katolickich i klasztorów. A pracownicy uniwersytetów pierwsze „Gazetę Wyborczą", a nawet urbanowskie „NIE" kupowali – mówił na otwarciu sympozjum „Oblicza współczesnej edukacji" w obecności pisowskiego speca od szkoły, Czarnka.

Don Orleone

Daniel Obajtek ewidentnie przeżywa dramę z nami, bo wraca do tej sprawy często i wałkuje ją na każdym spotkaniu i w wywiadach. Al Capone wypierdolił się na podatkach, a Obajtek na „NIE". W rozmowie przeprowadzonej dla portalu Kanału Zero opowiedział rzekome kulisy całej afery: „Jak chcą mi z tego zrobić zarzut, niech robią. Tylko na to czekam, by narobić wokół tej sprawy szumu na skalę międzynarodową. Trzeba nie mieć instynktu politycznego, by chcieć skazać prezesa wielkiej spółki za to, że na stacjach benzynowych wycofano jeden numer jednej gazety. Ale powiem panu coś, czego do tej pory nie mówiłem. Biorę sprawę z tygodnikiem »NIE« na siebie, ale decyzji o wycofaniu numeru nie podejmowałem". Dopytany, kto zatem podjął, dopowiedział:

„Powiedziałem, że to moja decyzja, żeby nie zrzucać odpowiedzialności na kogoś innego. Ale decyzje w takich sprawach nie zapadają na szczeblu prezesa zarządu. Choć uczciwie zaznaczam, że gdyby ta sprawa do mnie trafiła, to też podjąłbym decyzję o zdjęciu gazety z półek.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Chodziło tam o obrazę uczuć religijnych, atak na św. Jana Pawła II. Ale to był wyjątek. Nigdy nie kazałem wycofywać tytułów, w których źle o mnie pisano".

Brzmi to jak zapowiedź międzynarodowej kariery „NIE". Z takim menadżerem czeka nas świetlana przyszłość jak Orlen za jego prezesury. Szykujemy zatem anglojęzyczne wydanie tygodnika „NO" z myślą o rynku zagranicznym i czekamy na kontakt od Obajtka. Reszcie zaś obiecujemy, że będziemy nadal dostarczać podniet, oburzeń, obraz uczuć i kłopotów.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 07bed47261

Donald Tusk projektuje przyszłość, ale nie dla wszystkich

Era złotych członków

Premier 20. gospodarki świata powołał Radę Przyszłości. – Polska stała się trendy, a pozytywne wyobrażenia o niej stają się faktem. Żyjemy w jednym z najlepszych miejsc na Ziemi. Rok 2026 będzie rokiem przyspieszenia. Wielką rezerwą Polski, która pozwoli uczynić z niej lidera, są młode Polki i młodzi Polacy – podkreślił Tusk podczas prezentacji nowego ciała doradczego.

Nie damy rady

Rada Przyszłości ma (przynajmniej w założeniu) przygotować rekomendacje działań i rozwiązań, które rozwiną potencjał krajowej zajebistości. Do zespołu zaproszono ekspertów i liderów ze świata nauki i biznesu, „którzy wiedzą, jak przekuć wiedzę, doświadczenie i nowoczesne technologie w przewagi konkurencyjne naszej gospodarki”, jak napisano w social mediach Ministerstwa Rozwoju i Technologii. Faktycznie gremium zasiliły nazwiska, które mogą robić wrażenie. Wśród członków znaleźli się m.in. Mati Staniszewski, CEO i współzałożyciel wycenianej na 11 mld dol. firmy ElevenLabs, Sebastian Siemiątkowski, wieloletni dyrektor generalny szwedzkiego fintechu Klarna Bank, czy Grzegorz Brona, prezes działającej w sektorze kosmicznym firmy Creotech Instruments. Rada liczy 16 członków i aż trzy członkinie. Załapały się: prezes Zarządu Polskiego Związku Innowacyjnych Firm Biotechnologii Marta Winiarska, prorektor ds. innowacji w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie Aleksandra Przegalińska i przedsiębiorczyni technologiczna Aleksandra Pędraszewska. Ciało doradcze premiera będzie działać pod kierownictwem ministra finansów i gospodarki Andrzeja Domańskiego.

Wśród osób, które zaproszono do współpracy, próżno szukać reprezentantów szeroko rozumianej strony społecznej. To świadomy wybór. Rada ma być ultraspecjalistycznym think-tankiem hard-tech. W końcu rząd gra na przyśpieszenie technologiczne, a nie na inkluzję społeczną. Identyfikacja nowych silników wzrostu nie przewiduje włączenia w łańcuchy gospodarcze tych, którzy w zdecydowanej większości nie ze swojej winy pozostają (i pozostaną) na ich marginesie. Efekt tych zaniedbań może mieć smarkate konsekwencje.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Bogaci obeszczają biednych

Domański wskazał, że obszary, na których Polska będzie budowała swój wzrost gospodarczy w kolejnych latach i dekadach, to: sztuczna inteligencja, dane, technologie kosmiczne, technologie podwójnego zastosowania i biotechnologia. Daj Boże nieistniejący. Należy jednak pamiętać, że interes dużego biznesu zwykle nijak ma się do interesu przeważającej części obywateli. Dlatego istotne jest, żeby pomysły powstające w ramach gremiów takich jak Rada Przyszłości były przepuszczone przez filtr społeczny.

Wielkie zmiany to duże koszty społeczne. Tak było w latach 90. XX w., kiedy kraj przechodził ustrojową i gospodarczą transformację. Gdy gospodarka Polski skupi się głównie na rozwoju biznesowym i technologicznym (np. innowacjach cyfrowych czy AI), pomijając inwestycje w opiekę społeczną, ochronę rynku pracy czy redystrybucję dochodów, może dojść do poważnych dysproporcji. Zagrożenie wzrostu nierówności jest szczególnie wyraźne w kontekście sztucznej inteligencji. Rozwój technologii przynosi nowe możliwości, ale jednocześnie zmienia strukturę zatrudnienia i przesuwa wymagania wobec pracowników. Dlatego istotne jest nie tylko wdrażanie innowacji, ale też zapewnienie ludziom wsparcia w dostosowaniu się do nowych warunków. Automatyzacja i AI sukcesywnie zastępują miejsca pracy w sektorach niskokwalifikowanych (usługi, produkcja) czy w obsłudze prostych powtarzalnych zadań – np. z zakresu księgowości i obsługi klienta zagranicznego. Mimo że ogólny poziom bezrobocia w Polsce wynosi (póki co) 6 proc., największe firmy technologiczne masowo zwalniają pracowników – głównie z powodu presji finansowej i rosnącej automatyzacji. To rodzi ryzyko stworzenia nowych form regionalnego wykluczenia, dezintegracji rynku pracy i pogłębienia podziałów społecznych. Technologia powinna iść w parze z dobrze przemyślaną polityką gospodarczą, która stawia nie tylko na wzrost PKB, ale też na jakość zatrudnienia i bezpieczeństwo pracowników.

Według raportów Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości szacunkowy odsetek osób, które bez szybkiego przekwalifikowania nie będą w stanie konkurować na rynku pracy w najbliższych latach, wyniesie 30–40 proc. siły roboczej w kraju.

Z raportów Polskiego Funduszu Rozwoju wynika zaś, że największa luka kompetencyjna dotyczy obszaru AI i zaawansowanej cyfryzacji.

Jeśli duża liczba osób straci źródło dochodu, wzrośnie zapotrzebowanie na świadczenia, programy aktywizacyjne czy kursy przekwalifikowujące, co znacząco obciąży budżet państwa – przynajmniej w teorii. Ostatnie ruchy ministra finansów Andrzeja Domańskiego przy zamrożeniu finansowania Urzędów Pracy, a w konsekwencji drastycznego ograniczenia oferty kursów i staży dla poszukujących pracy, zdają się tylko potwierdzać, że wizja Polski przyszłości nie obejmuje zwykłych zjadaczy chleba. O uśmieciowieniu umów o pracę nie wspominając.

Rzeka problemów

W gronie znakomitych ekspertek i fachowców Rady Marketingu, przepraszam, Przyszłości, nie ma ani jednego specjalisty ds. środowiska. Jest astronauta Sławosz Uznański-Wiśniewski i Paweł Przewięźlikowski z firmy biotechnologicznej, ale nie ma nikogo, kto mógłby wytłumaczyć premierowi, że fundamentem bezpieczeństwa państwa są zasoby naturalne.

Z analiz Polskiego Instytutu Ekonomicznego wynika, że do 2028 r. centra danych w Polsce będą zużywać przeszło 150 mln m sześc. wody rocznie. Do 2050 r. – zakładając, że nie zmieni się technologia chłodzenia – wzrost zużycia się podwoi. Co prawda to 5–6 proc. tego, ile wody zużywają gospodarstwa domowe, ale w lokalnych gminach z dużymi obiektami technologicznymi może to być odczuwalne tak samo, jak gdyby za płotem wyrosło 100-tysięczne miasto. Z biegiem czasu zużycie wody przez farmy serwerów i chmury obliczeniowe może stać się zauważalnym obciążeniem dla zasobów wodnych w rejonach Górnego Śląska, Poznania czy Warszawy, gdzie już występują okresowe niedobory. Bez konkretnych regulacji i ochrony w najbliższych latach to woda, a nie prąd może stać się najbardziej problematycznym zasobem w kraju nad – nomen omen – Wisłą.

Jeśli premier Tusk nie chce słuchać ekologów i przyrodników, niech zajrzy do konstytucji. Ta wprost wymienia ochronę środowiska obok strzeżenia niepodległości, nienaruszalności terytorium i bezpieczeństwa obywateli jako jedno z podstawowych zadań państwa. Podobny zapis figuruje w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego RP. Zmiany klimatu, susze, powodzie, smog, degradacja gleb i niedobory wody są uznawane za realne zagrożenie niemilitarne, które mogą destabilizować państwo.

Transformacja lat 90. zostawiła całe grupy społeczne na pastwę losu. Sukces gospodarczy to także mądrze zaprojektowana polityka społeczna z siatką zabezpieczeń dla obywateli. Erozja spójności społecznej już wali do drzwi, ale czy premier zamknięty w złotej bańce usłyszy?

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI GMINNE i INNE

Borsuk mieszkający na terenie Muzeum Łazienek Królewskich w Warszawie otrzymał oficjalne imię. W głosowaniu zorganizowanym przez muzeum zwyciężyła propozycja „Jan Chryzostom w Pasek”. Imię nawiązuje do XVII-wiecznego pamiętnikarza Jana Chryzostoma Paska oraz do charakterystycznych czarnych pasów biegnących po bokach białej głowy zwierzęcia. Samemu borsukowi zapewne jest wszystko jedno, czy został Janem, czy tylko Paskiem. Chyba że mamy do czynienia z suką borsuka, samicą – borsuczycą – wtedy sprawa komplikuje się nieco językowo i tożsamościowo. Warto jednak zastanowić się, czy Jan Chryzostom Pasek życzyłby sobie, aby jego imieniem ochrzczono jakiegoś borsuka, a może – co jeszcze bardziej kłopotliwe – borsuczycę. No właśnie.

Chomik europejski został Zwierzęciem Roku 2026 w plebiscycie Ministerstwa Klimatu i Środowiska, zdobywając 32 proc. z 33 tys. głosów. Rysie i wilki w tyle. Rząd donosi, że wybór ma zwrócić uwagę na dramatyczny spadek populacji chomika. No to zwróciliśmy. Ministerka Hennig-Kloska usatysfakcjonowana? Mamy nadzieję.

Po ponad 11 latach służby w policji na zasłużoną emeryturę odszedł koń Smyczek z Ogniwa Konnego Komendy Miejskiej Policji w Częstochowie. Smyczek był znany mieszkańcom regionu, szczególnie najmłodszym, którzy podczas spotkań profilaktycznych mogli przekonać się, że koń bywa spokojniejszy od psa. Na emeryturę przeszedł w wieku 17 lat. Trzeba uczciwie zapytać: czy wiek emerytalny dla koni nie jest aby zbyt łaskawy? 17 lat i już? Gdyby konie potrafiły czytać przepisy o ludzkich emeryturach, pewnie parsknęłyby śmiechem.

Mamy nowe znaki drogowe – konkretnie trzy. Spokojnie, nie dla wszystkich. Pierwszy dotyczy tych, którzy jeżdżą na prąd. To niebieska prostokątna tablica z czarnym symbolem ładowarki i przewodu z wtyczką. Informuje o miejscu ładowania samochodów elektrycznych i półelektryków. Drugi znak przeznaczony jest dla amatorów jazdy autostradą pod prąd. Tablica „zły kierunek” była już wcześniej, ale teraz ma być jeszcze bardziej widoczna i jednoznacznie podkreślać, że kierunek jest naprawdę zły. Trzeci to znak „pas wielofunkcyjny”. Same pasy istnieją od dawna, teraz po prostu dostaną własną oficjalną tablicę. Czy to podniesie bezpieczeństwo? Nie. Znaków na drogach jest już tyle, że człowiek bardziej analizuje tablice niż sytuację przed maską. Pamiętam, jak 30 lat temu egzaminator zapytał mnie po jeździe, jakie były trzy ostatnie znaki. Odpowiedziałem bez problemu. Dziś raczej bym nie zdał.

Entuzjaści lotnictwa zauważyli w minionym tygodniu, że nad Polską szalał F-16. Bez ładu i składu, jak gdyby pilot zgubił drogę do domu. Kod samolotu też niepokojący: „ALIEN01”. Czyżbyśmy mieli do czynienia z UFO? Rzecznik prasowy 31. Bazy Lotnictwa Taktycznego w Poznaniu Krzesinach kpt. Łukasz Hećman uspokajał: „To wojskowy statek powietrzny, który wykonywał zadania służbowe”. Tylko tyle i aż tyle. Takich rzeczników nam trzeba – pytajcie ich tylko o pogodę, bo o reszcie i tak nic nie wiedzą.

„Dar Młodzieży”, 44-letnia trzymasztowa fregata Uniwersytetu Morskiego w Gdyni, przeszedł remont w Stoczni Pomerania w Szczecinie. Prace rozpoczęły się 10 grudnia i obejmowały m.in. malowanie kadłuba, naprawy sterów oraz czyszczenie zbiorników paliwowych. Malowanie kadłuba przy –10 st. C? Cóż, stocznie twierdzą, że mają na to swoje sposoby. Remont został zakończony, ale jednostka nie mogła od razu opuścić stoczni. W Zalewie Szczecińskim było za mało wody. Dlaczego w ogóle planowano wyjście w morze w środku zimy? Tego przedstawiciele uczelni szerzej nie wyjaśnili.

Wójt gminy Grajewo Grzegorz Górski ostrzega: wiatraki zabijają! Nie dość, że szpecą krajobraz, to jeszcze zamieniają się w lodowe armaty. Łopaty pędzą z prędkością pocisku, a spadający lód może uśmiercić nawet samochód. Szczególnie niebezpieczna jest droga Wojewodzin–Popowo. Wójt apeluje o ostrożność, ale łatwiej powiedzieć, niż uciec przed takim lodowym pociskiem.

Dramat pod Tatrami? Raczej farsz sanitarno-narodowy. Nad Morskim Okiem – gdzie co roku tłoczy się 900 tys. pielgrzymów – wciąż nie ma stacjonarnych toalet. Turyści mówią wprost: nie mamy gdzie się wysrać. TPN odpowiada z godnością urzędowego lodowca: wola jest, ale procedury, technika i święta przyroda. Kanalizacji brak, choć pozwolenia są, ale inwestycje grzęzną w papierach jak klapek w błocie na Palenicy. Kozice beczą, owce mielą trawę z rezygnacją, a górale rwą się z Gęsiej Szyi, bo ileż można tłumaczyć, że w XXI w. w najwyższych polskich górach obowiązuje minimalizm, szczególnie sanitarny.

Rys. WIDGET

Poczta Polska dogorywa pod Tatrami. Mieszkańcy Podhala alarmują: listy polecone giną, wezwania sądowe nie docierają, rachunki przychodzą po terminie. Wójtowie i burmistrzowie wysyłają kolejne skargi do dyrekcji poczty, ale efektów brak. Opóźnienia mają realne konsekwencje: naliczane są odsetki, a część osób nie stawia się w sądach, bo nie otrzymała zawiadomień. Na czele Poczty Polskiej stoi obecnie Sebastian Mikosz – menadżer specjalizujący się w restrukturyzacji dużych spółek. W latach 2017–2019 kierował liniami lotniczymi Kenya Airways (Afryka), gdzie odniósł co najwyżej pyrrusowe zwycięstwo.

W 2024 r. w Polsce zawarto 5517 małżeństw z obcokrajowcami – wynika z danych GUS. Związki, w których jedna osoba była obywatelem Polski, a druga innego kraju, stanowiły 4,1 proc. ślubów. To najwyższy wynik od 2006 r. 2647 Polek poślubiło cudzoziemców, natomiast 2870 Polaków ożeniło się z obywatelkami innych państw. Polki najczęściej wychodziły za mąż za obywateli Ukrainy (534 śluby), Wielkiej Brytanii (276) oraz Turcji (182). Z kolei Polacy najczęściej żenili się z Ukrainkami (2013 ślubów), Białorusinkami (215) oraz Rosjankami (56). Zanim jednak zaczniecie planować wesele, pamiętajcie: małżeństwo to główna przyczyna rozwodów, a w związkach z obcokrajowcami ryzyko rozstania rośnie. Ponad połowa takich kończy się w sądzie, przy 30–40 proc. małżeństw krajowych. Twierdzenie, że miłość nie zna granic, nie musi być prawdziwe.

Mieszkanka Kalisza wezwała służby, informując o pobiciu partnera przez nieznanych sprawców. Na miejscu znaleziono ciało 49-latka z ranami kłutymi. Prokurator twierdzi, że to zgłaszająca zabiła. Nie fetujmy wyroków przed sądami, już my znamy tych zabójców, których po 18 latach trzeba było uwalniać, rehabilitować i jeszcze odszkodowywać.

Alarm z rynku pracy: w styczniu zarejestrowano 940 tys. bezrobotnych, co stanowi wzrost o 170 tys. w porównaniu do stanu sprzed dwóch lat (770 tys.). Stopa bezrobocia wzrosła do 6 proc. Najtrudniejsza sytuacja panuje w województwach warmińsko-mazurskim i podkarpackim, gdzie bezrobocie sięga 10 proc. Spada jednocześnie liczba ofert pracy. W styczniu zgłoszono ich zaledwie 25 tys. co oznacza spadek o 60 tys. w porównaniu z rokiem ubiegłym. Lawinowo rośnie liczba zwolnień grupowych: w 2025 r. zgłoszono ich 97,6 tys., najwięcej od czasu kryzysu finansowego z lat 2008–2009. Czy to efekt odłożony w czasie „dobrej zmiany” lansowanej przez obóz Kaczyńskiego? Faktem jest, że coraz więcej Polaków zamiast pracować, będzie zmuszonych do życia z zasiłków. Pytanie, jak długo państwo będzie w stanie to finansować z podatków tych, którzy jeszcze pracują?

72-letnia mieszkanka powiatu niżańskiego padła ofiarą metody „na wypadek”. Telefon, dramatyczny głos, trup, córka za kratami, potrzebna natychmiastowa „kaucja”. Seniorka w imię miłości macierzyńskiej przekazała oszczędności życia. W sumie blisko milion złotych. Z policyjnej relacji wynika, że po rozmowie do drzwi zapukał fałszywy policjant i odebrał gotówkę. Z historii płyną liczne wnioski dydaktyczne. Po pierwsze, system 13. i 14. emerytur najwyraźniej działa, bo ktoś jednak te miliony w domach ma. Po drugie, zaufanie do policji w Polsce jest ogromne. Nawet jeśli policjant jest z telefonu i istnieje głównie w wyobraźni rozmówcy. Po trzecie, banki mogą się uczyć. Skoro gotówka w szafie wygrywa z kontem oszczędnościowym, to znaczy, że tradycyjny system finansowy przegrał z materacem.

RJ

PS Informacje zaczerpnęliśmy z mediów terenowych – takich, co to czasem piszą prawdę, a czasem tylko bardzo się starają. My tu tylko trzymamy klucz francuski i patrzymy, czy coś kapie. Jeśli więc gdzieś przecieka, to zapewne nie u nas, tylko w źródle. Odpowiedzialność? Oczywiście, sprawdzimy zawór. Kiedyś.

eprasa.pl 07bed47261

Przy każdej władzy muzea rosną jak grzyby po deszczu, tyle że nie wiadomo, po co.

Chleba i muzeów

Wygląda, jak by każdy rząd uznawał, że kultura mierzy się liczbą budynków. Uznanego w świecie malarstwa jest w Polsce tyle, że starczyłoby na jedno nieduże i świetnie strzeżone muzeum. Bo to raptem „Dama z łasiczką", parę Rembrandtów i „Św. Franciszek" El Greca. No i jeszcze „Sąd ostateczny" Memlinga. Godnej upamiętnienie martyrologii też nam na szczęście nie przybywa. Ale mamy mnóstwo rupieci, stada ludzi głodnych posad i chęć szczerą. A każde nowe otwarcie staje się okazją do narracji politycznej – każdy samorządowiec, minister czy poseł z mikrofonem w ręku chętnie tłumaczy przy takiej okazji, że oto Polska staje się krajem refleksji i nowoczesności. To dlatego przez dwa lata funkcjonowania tej władzy muzeów przybyło nam kilkanaście.

Aby język giętki

Choćby Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie – przybytek, który w końcu w 2024 r. oficjalnie otwarto po latach oczekiwań i planów. Nowy gmach, zaprojektowany przez amerykański zespół, miał robić wrażenie i stać się ikoną stolicy. Z dumą mówiła o tym jego dyrektorka Joanna Mytkowska, kreśląc wizję „otwartego miejsca spotkań, które ma przemawiać językiem XXI wieku i pokazywać pluralizm artystyczny" – deklaracja godna zacytowania, tyle że pierwszy publiczny pokaz ogromnej kolekcji został zaplanowany po kilku miesiącach, a w chwili otwarcia pokazano głównie minimalistyczne instalacje niejasne nader w przekazie.

„To specjalny moment – nie było takiego miejsca w Warszawie od dekad" – mówił także prezydent miasta Rafał Trzaskowski, podkreślając symboliczną wagę budynku w centrum, który ma „promować polską sztukę spektakularną i nowoczesną". Tymczasem zwiedzający porównywali wnętrza do białych boksów galerii handlowej, w których zawieszono prace tak abstrakcyjne, że przeciętny odwiedzający czuł się częściej jak na targu idei niż na przystanku sensu. Krytycy podkreślali, że choć Mytkowska mówiła o „pluralizmie artystycznym" i „dialogu kultur", to część eksponatów bardziej przypominała test cierpliwości niż ekspozycję, a wiele prac wydawało się bardziej efektami dekoracyjnymi niż głębokim komentarzem artystycznym, co tylko potęgowało wrażenie rozbieżności między tonem politycznych wypowiedzi a tym, co widział zwiedzający.

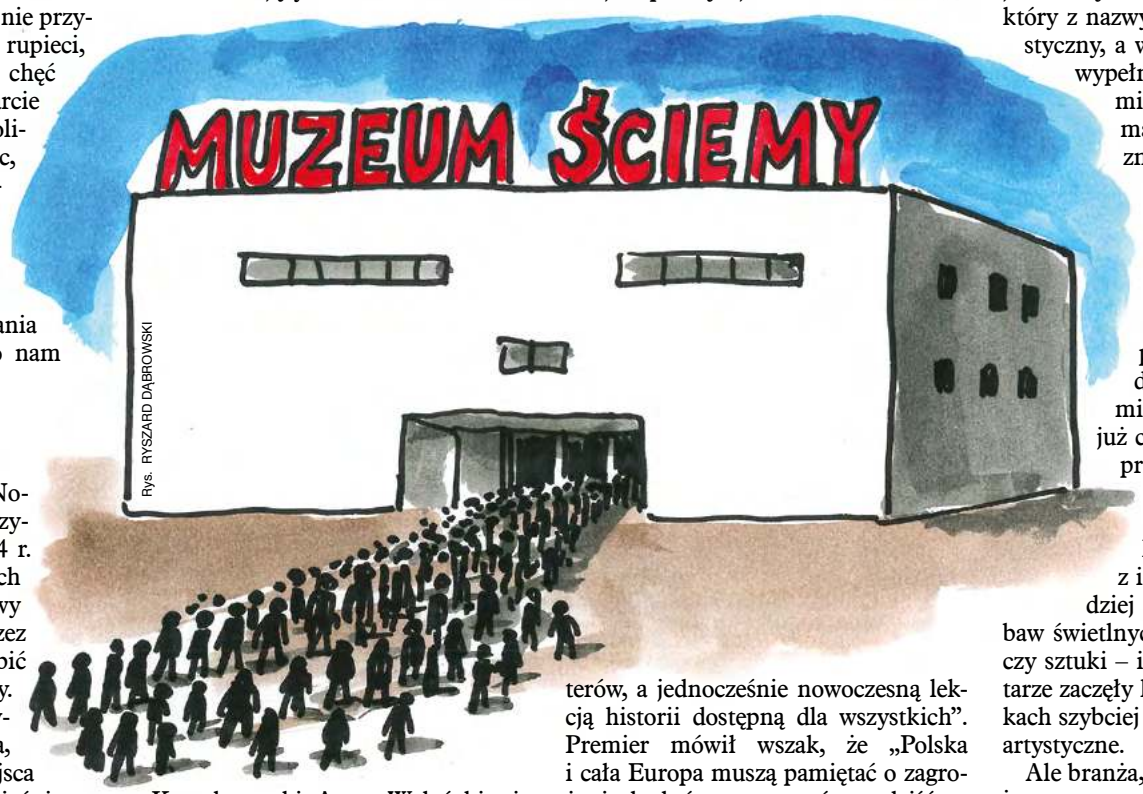

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Krytyk sztuki Artur Wolański nie przebierał w słowach: „To nie jest muzeum, tylko architektoniczna klatka dla sztuki z Instagrama. Puste przestrzenie, bez kontekstu, bez narracji. Nawet najlepsze dzieło nie przemówi, jeśli utopi się w betonowym echu braku pomysłu." Artystka wizualna Lena Górska, której prace wystawiano w podobnych instytucjach w Berlinie i Kopenhadze, ujęła to chyba najtrafniej: „To nie jest przestrzeń dla twórcy – to przestrzeń dla systemu dotacyjnego".

I tak jak nowe MSN jawiło się niektórym jako symbol nowoczesnej Polski, tak samo błyskawicznie zaczęły pojawiać się kolejne przedsięwzięcia, które miały być jeszcze lepszą odpowiedzią na oczekiwania społeczne, a okazywały się jak zwykle pretekstem do zatrudniania znajomych polityków i ich autoprezentacji.

Hołd migających ledów

Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 roku w Ossowie – otwarte 16 sierpnia 2025 r. z uroczystą rekonstrukcją działań sprzed 105 lat. Oficjele i samorządowcy nie szczędzili słów patriotyzmu i podniosłości, przekonując, że oto „to miejsce pamięci jest hołdem dla bohaterów, a jednocześnie nowoczesną lekcją historii dostępną dla wszystkich". Premier mówił wszak, że „Polska i cała Europa muszą pamiętać o zagrożeniach, które mogą znów nadejść ze Wschodu" – głos jak z apelu wojskowego, który miał dodać ciężaru całej sprawie. Tymczasem ekspozycja składa się głównie z gablot z mundurami, plakatami i ulotkami propagandowymi obu walczących stron oraz multimedialnych sal, które miały „zanurzać" widza w kontekstach historycznych, ale bardziej przypominały pokaz slajdów szkolnych z niewyraźnymi komentarzami. Krytycy tłumaczyli, że choć od strony scenografii włożono mnóstwo pracy, trudno mówić o głębszym przekazie – część zwiedzających mówiła wprost, że czuła się jak na szkolnej lekcji historii z tablicą rekwizytów, a nie w instytucji prezentującej historię w pełnej złożoności i refleksji.

Historycy sztuki i muzealnicy twierdzili: „Ossów wygląda jak placówka przygotowana przez pasjonatów rekonstrukcji i dobrych chęci, ale bez cienia muzealnej metodologii. Tam nie ma opowieści – są rekwizyty". A dyrektor jednego z regionalnych muzeów, prosząc o anonimowość, dodał: „To nie jest edukacja. To cosplay historyczny wspierany przez dotację".

Na warszawskiej mapie kultury pojawiło się też Melt Museum – projekt, który z nazwy brzmi jak start-up artystyczny, a w praktyce jest dużą halą wypełnioną światłami, ekranami LED i efektami, które mają „angażować wszystkie zmysły". Wiceminister kultury chwalił, że „to miejsce, w którym nowoczesność spotyka duchowość i każdy stanie się tu twórcą własnej narracji". Zwiedzający natomiast, po krótkim spacerze między projekcjami świetlnymi, pytali w recepcji, czy to już cała wystawa i czy nie ma przypadkiem gdzie indziej „czegoś bardziej namacalnego". Nieformalni komentatorzy mówili z ironią, że to muzeum bardziej przypomina centrum zabaw świetlnych niż instytucję pamięci czy sztuki – i to właśnie takie komentarze zaczęły krążyć w społecznościówkach szybciej niż jakieś głębsze analizy artystyczne.

Ale branża, która dostała nowe etaty i szansę na to, że jej wytwory będą miały szanse na wystawianie, radowała się. Nie cała jednak. Kurator sztuki współczesnej Zofia Nawrocka komentowała: „Melt Museum pokazuje, że w Polsce coraz częściej treść zamieniamy na doznanie. To sztuka jako event, nie jako pytanie. Kolor, dźwięk, selfie i do domu". Znany artysta interdyscyplinarny Paweł Słotwiński dodawał: „Nigdy nie widziałem tylu ludzi pod wrażeniem światła, a tak mało pod wrażeniem sensu".

Wielowymiarowość perlista

Poznań z kolei przekształcił swe dawne Muzeum Etnograficzne w Muzeum Kultur Świata, instytucję, która miała pokazywać wielowymiarowość ludzkich kultur, a w praktyce okazała się miejscem, gdzie obok autentycznych artefaktów stoją przedmioty, które bardziej przypominają scenografię ekspozycyjną z muzeum etnograficznego z lat 80., wymieszaną z eksponatami przywiezionymi lata temu przez podróżników z różnych kontynentów. Dyrektor w oficjalnym przemówieniu mówił, że „to miejsce dialogu kultur i uważnej refleksji nad różnorodnością świata", ale wielu zwiedzających komentowało, że „dialog" nie jest słowem, które tu cokolwiek znaczy, bo eksponaty stoją bez kontekstu i czytelnych opisów, jak gdyby były powrzucane w jedną przestrzeń zupełnym przypadkiem. Opinie krytyczne zauważały, że uniwersalne idee „dialogu kultur" brzmiały tu trochę jak slogan reklamowy, który najgłośniej brzmi wtedy, gdy realnej narracji brak.

Eksperci byli nader jednomyślni: „To nie muzeum, to piwnica eksponatów z całego świata zebranych przez przypadek. Nie ma narracji, nie ma idei, jest tylko różnorodność jako hasło. To nie wystarczy".

To tylko niektóre przykłady. W różnych innych miejscach kraju pojawiają się pomysły na kolejne instytucje – od muzeów tradycyjnych po instytucje mniej formalne. Każdy lokalny samorząd chętny jest podać komunikat prasowy o otwarciu kolejnej „perełki kultury" i każdy polityk gotów jest strzelić przemowę o wyjątkowej roli tych miejsc.

Ale specjaliści od sztuki i historii wskazują, że bełkot o „nowych przestrzeniach dialogu i pamięci" nie ma nic wspólnego z treściami, które rzeczywiście tych dialogów i pamięci dostarczają.

Ci, co się znają na rzeczy, zwracają uwagę, że muzealnictwo nie może być tylko narzędziem lokalnych karier czy kolejnym etapem w planie marketingowym polityka. Tymczasem mamy państwo, w którym instytucji muzealnych przybywa, a zwiedzający zastanawiają się częściej nad tym, jak zatrudnieni w nich ludzie załatwili sobie niezłe fuchy, niż co zobaczyli na ścianach i w gablotach.

TOMASZ BOROWIECKI

Prawo we własnych rękach

Niegdysiejszy ormowiec niepostrzeżenie wyewoluował w szeryfa

Za czasów PiS wszystko musiało mieć twarz bohatera. Najlepiej młodego, trzeźwego, ofiarnego i narodowego. Ewentualnie pijanego, ale z dobrymi intencjami. Takiego, co nie pyta, tylko działa. A jak działa, to z rozmachem. Z łapaniem, duszeniem, przyciskaniem do gleby. Obywatelskie zatrzymanie – instytucja znana od dekad, lecz wykorzystywana dość niechętnie – nagle stało się fetyszem prawicowej propagandy. Przyprawionym policyjnym rozkazem chwalenia każdego, kto zamiast zadzwonić, postanowił dać komuś w mordę.

Naród prawych i sprawiedliwych

Oficerowie prasowi komend mieli czynić cuda – z uczniów robili obrońców staruszek, z kierowców zajeżdżających komuś drogę – herosów drogówki. Tyle że zwykli policjanci byli tym szeryfowaniem zniesmaczeni. Bo, jak mówią, robota ich polegać zaczęła na dojeżdżaniu nie do przestępstwa, ale do medialnego spektaklu.

Kodeks mówił jasno: „Każdy ma prawo ująć osobę na gorącym uczynku przestępstwa lub w pościgu podjętym bezpośrednio po popełnieniu przestępstwa", jeśli nie można ustalić jej tożsamości albo zachodzi obawa, że się schowa. Należy ją też „niezwłocznie oddać w ręce policji". Tylko że za PiS te przepisy zaczęły żyć własnym życiem. Rozciągane jak gumka w majtkach.

Prawnie – zatrzymać pijanego kierowcę bez ryzyka łamania prawa to sztuka. Gliniarze tłumaczyli: nie wolno odbierać kluczyków, nie wolno zajeżdżać drogi. Bo narąbany kierowca, choć szkodliwy, nie jest anonimowy – ma blachy, auto, dom. Policja do niego trafi. Ale propaganda nie słuchała. Propaganda chciała krwi.

Dlatego kiedy nastolatek obezwładniał złodzieja torebki, z miejsca trafiał do mediów. Jeszcze lepiej, gdy bohater działał sam, bez zawracania tyłka policji. Najlepiej, by miał na sobie coś patriotycznego na koszulce. Władza klepała po plecach, statystyki rosły. Szacowano, że w trzy lata liczba takich zatrzymań wzrosła pięciokrotnie. Oficjalnych danych brak – bo i po co komu statystyka, skoro jest sukces.

Wśród prawicowych sukcesów – zatrzymanie furgonetki z hasłami LGBT rzekomo szerzącej mowę nienawiści. Problem w tym, że zatrzymanie obywatelskie można zastosować wobec osoby, nie wobec karoserii. Ale co tam. Wiara w praworządność była podówczas opcjonalna.

Albo przypadek z Lipna. Ukradziono rower. Pokrzywdzony nie poszedł do sądu, nie zawracał głowy glinom. Napisał na Fejsie. Internauta rozpoznał sprawcę, zebrała się grupa, ujęła złodzieja. Bohaterowie zatrzymania – zgodnie z relacją policji – przekazali go funkcjonariuszom. Problem w tym, że od przestępstwa minęło za dużo czasu, a „pościg" odbywał się drogą internetową. Ale propaganda była zadowolona.

Czujność obywatelska

Inny przykład. Pod Chrzanowem zatrzymano pijanego kierowcę z 2,5 promila. Odebrano mu kluczyki. A ten, który go ujął – miał 3,2. I to jemu policja dziękowała. Dodatkowo odwiozła go do domu. Szeryf to szeryf.

Absurd gonił absurd. Taksówkarze z Łodzi zablokowali człowieka, bo podejrzewali go o jazdę dla Ubera. Użył samochodu jak taranu, dwóch ludzi trafiło do szpitala. Nikt nie udowodnił, że Uber to przestępstwo. Ale zatrzymanie się odbyło. I władza była z siebie dumna.

Najsłynniejszy przypadek dotyczył jednak nie obywatela, a funkcjonariusza. Policjant po pracy został – według siebie – zaatakowany. Obronił się, gonił napastników, wyważył drzwi ich mieszkania, użył gazu, kogoś pobił. Wszystko w ramach obywatelskiego zatrzymania. Sprawa trafiła do sądu. Bo ci „zatrzymani" twierdzili, że to on pierwszy ich napadł. Kolejne instancje wierzyły na zmianę raz jednym, raz drugim. Władza nie skomentowała. Bo tu się już nic nie dało pokazać w „Wiadomościach".

Nie dało się też wytłumaczyć, czemu zatrzymany obywatelsko nie ma prawa do obrony. Bo według kodeksu – nie ma. Jak więc ktoś weźmie cię z zaskoczenia, pobije i powie, że zatrzymywał, twoje prawo do obrony przestaje istnieć. To się władzy wyjątkowo podobało.

Zawsze mogła powiedzieć, że winny jest ten drugi. I choć gliniarze coraz głośniej sarkali, że szeryfowie zawracają im głowę, musieli robić dobrą minę. Chociaż bywało, że do zatrzymania dochodziło pod domem nietrzeźwego kierowcy. Wystarczyło nie oddać mu kluczyków. Ale przecież nie takiego bohatera chciała kamera TVP.

eprasa.pl 07bed47261

Sprawiedliwość na telefon

Czy masz do kogo zadzwonić?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Czytam w prasie i na portalach, że złapano wielu pracowników zagranicznych pracujących na czarno. Oczywiście będą oni ukarani deportacją. Nigdzie jednak nie piszą, jak ukarani zostaną ci, którzy tych imigrantów zatrudnili. Doszło do złamania przepisów – ale zapłacą za to tylko ci, którzy z powodu biedy zgodzili się pracować na czarno, a ci, którzy dla większego zysku ich zatrudnili, pozostaną bezkarni.

Dziewczyna sfotografowała posiłek regeneracyjny w Dino i za to „przestępstwo" została zwolniona z pracy. Posiłek nie przynosił chluby sieci handlowej. Więc sygnalistkę za ujawnienie tego widoku zwolniono. Ustawa o sygnalistach została uchwalona na prośbę Unii Europejskiej, ale nasz rząd wyłączył spod jej działania miejsca pracy. W tym nowym kształcie ustawa o sygnalistach zapewnia ochronę prawną tym, którzy upomną się o dobrostan zwierząt hodowlanych, ale kiedy ktoś zwróci uwagę na łamanie norm bezpieczeństwa i higieny pracy – już z takiej ochrony nie korzysta. W myśl zasady: świnie tak, ludzie nie.

W sieci sklepów Dino temperatura była za niska. w tej sytuacji ministra pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk wezwała kasjerki, żeby opuściły stanowiska pracy. Nie posłuchały. Wolały marznąć, niż biedować na zasiłku.

Lider związku zawodowego Inicjatywa Pracownicza, Mariusz Piotrowski przywrócony do pracy wyrokiem sądu, nie został wpuszczony do niemieckiej fabryki Jeremias w Gnieźnie, bo fabryce bardziej się opłaca płacić grzywny za niezastosowanie się do wyroku, niż wpuścić buntownika do zakładu.

Klaudia, szukając pracy, jeździła na gapę warszawską komunikacją. Nałapała dużo mandatów, co prawnie zakwalifikowano jako wyłudzenie przejazdu. Została skazana na ograniczenie wolności w formie prac społecznych, które potocznie nazywa się godzinkami. Niestety, w zakładzie zieleni miejskiej, dokąd ją skierowano, doszło do molestowania. Uciekła stamtąd – w rezultacie czego zamieniono jej godzinki na areszt. W więzieniu traktowano ją jak zabójczynię, musiała nosić tzw. kajdanki zespolone na rękach i nogach i specjalny czerwony kombinezon. Lekarz więzienny pytał ją nawet, czy siedzi „za głowę". Ponieważ odprowadziliśmy ją do bram więzienia ze sztandarami, była regularnie przesłuchiwana na okoliczność, skąd zna Ikonowicza.

Kolumbijczyk Yordan zasłabł przy pracy, w której miał do czynienia z chemikaliami, a pracował bez żadnych zabezpieczeń. Poszła mu krew z nosa, a w szpitalu dowiedział się dodatkowo, że ma chore serce i nie może wykonywać ciężkiej pracy fizycznej. Po wyjściu ze szpitala okazało się, ze wymówiono mu kwaterę pracowniczą, bo kiedy przestał zarabiać, skończyły mu się pieniądze. Lekkiej pracy dla Kolumbijczyka w Polsce nie ma. Nie ma też darmowych kwater. Stara się więc, żeby jakaś międzynarodowa organizacja pomocowa pomogła mu wrócić do ojczyzny, gdzie nic dobrego go nie czeka.

Rys. TOMASZ WIATER

Unia Europejska domaga się, żeby wszyscy zagraniczni pracownicy w Polsce mieli umowy o pracę. To napotyka na opór Polaków, którzy argumentują, że przecież my sami, polscy pracownicy, pracujemy na umowach śmieciowych. Kiedy próbowano to naprawić, nadając inspektorom pracy prawo do przekwalifikowywania umów śmieciowych na umowy o pracę – biznes zawył i wywalczył zmianę projektu, polegającą na tym, że zmiana umowy wchodzi w życie, jeżeli pracodawca nie odwoła się do sądu pracy. Umowę o pracę – a wraz z nią ochronę płynącą z przepisów prawa pracy – pracownik uzyskuje dopiero, jeśli sąd podtrzyma decyzję inspektora. Co ciekawe, rząd zapewnia, że wkrótce zostaną reaktywowane sądy pracy, które w ostatnich latach masowo likwidowano.

Kiedy właściciel mieszkania chce się pozbyć lokatora, który nie ma się dokąd wyprowadzić, dzwoni do eksmitera i zamawia usługę polegającą na bezprawnym siłowym opróżnieniu mieszkania. Taki proceder stanowi złamanie prawa, ale policja albo o tym nie wie, albo woli odwrócić wzrok. W takich wypadkach zdarza nam się dzwonić, gdzie trzeba, i sprawić, by kolejny patrol, który nadjedzie, stanął po stronie prawa – czyli lokatora – pouczając, że właścicielowi przysługuje prawo do wniesienia sprawy o eksmisję. Samo zatrudnienie bandytów – mimo że to przestępstwo – nie jest karane. A firma, której działalność polega na popełnianiu przestępstw polegających na stosowaniu przemocy, działa dalej w najlepsze, bo zbyt wielu ważniaków korzysta z ich usług. Warto też zauważyć, że prawo działa tylko wtedy, jeżeli znajdzie się ktoś, kto – jak my – wie, do kogo zadzwonić.

Można powiedzieć, że długotrwałe mieszkanie w czyimś mieszkaniu bez wnoszenia opłat jest nie OK. W ogóle bycie biednym jest nie OK.

Nie OK jest też zaleganie z wypłatą wynagrodzenia, ale jakoś wobec niepłacących bossów nie widzę hejtu porównywalnego z tym, jaki spotyka zadłużonych lokatorów.

Problem w tym, że gdybyśmy powołali firmę, która odbiera niewypłacone pensje, wylądowalibyśmy w więzieniu.

Eksmisja wynikająca z nieuregulowanych czynszów jest możliwa, chociaż potrafi to trwać miesiącami (miesiącami – a nie, jak twierdzą firmy czyścicielskie – latami). Natomiast wyegzekwowanie należnych wynagrodzeń trwa dłużej i jest trudniejsze. Bo nawet jak zapadnie nakazowy wyrok zapłaty, okazuje się, że szef nic na siebie nie ma. Zakłada kolejne spółki, działając na szkodę wierzycieli, czyli pracowników.

Ten system jest skonstruowany przez polityków będących na usługach niekoniecznie uczciwego biznesu. Policja i wymiar sprawiedliwości są skorumpowane, a nawet jak nie są – to sądy łatwiej utożsamiają się z kanciarzami i ich wypachnionymi prawnikami niż z oszukanymi i sponiewieranymi biedakami, którzy w sądzie są zwykle na przegranej pozycji. Żeby wygrać, trzeba mieć właściwy numer telefonu. Żeby prawo było prawem, trzeba zatelefonować.

PIOTR IKONOWICZ

Tymczasem księża z Bełchatowa zatrzymali 13-latka, który wypluł opłatek. Policja nie widziała problemu, choć bezprawne pozbawienie wolności grozi pięcioma latami odsiadki. Ale przecież to „zatrzymanie w kościele".

Tak się robiło prawo za PiS. Z kodeksu brano to, co pasowało. Resztę – wyrzucano. Władza nie chciała policji. Wolała szeryfów.

Bojownicy mają się dobrze

Po wyborach z października 2023 r. czasy się zmieniły. A z nimi zmieniły się też twarze szeryfów. Młodych zapaleńców zastąpili dojrzali panowie z misją. Ubrani nie w dres, lecz w patriotyczne emblematy, krzyże na piersiach i ciężki zestaw kompleksów przebrany za „obronę wartości". W policji zmieniono rozkazy i komunikaty miały przestać wychwalać szeryfowanie. Poza tym nie zmieniło się nic.

Bo mit sprawczości obywatelskiej w narodzie nie zgasł. Nad Bałtykiem, w gminach takich jak Mielno, Będzino i okolicach, rodziły się nowoczesne patrole obywatelskie. Początkowo z potrzeby – bo mieszkańcy narzekali na wzrost drobnej przestępczości, na kradzieże, na incydenty przy posesjach. Środowisko lokalne zebrało się więc rodzinnie. Latarki w dłoń, krótkofalówki, objazdy ulic, spacerów i kąpielisk.

Pierwsze interwencje były niewinne: „Widzę podejrzanego przy płocie, patrzę, czy nie wchodzi do ogrodu", „Obserwuję plac budowy, ktoś się kręci, więc dzwonię na policję". To wyglądało jak sąsiedzka odpowiedzialność – i było social mediowym prezentem: dużo ciemnej nocy, reflektory LED na masce samochodu i komentarze typu „Dbamy o nasze miasto".

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Prawdziwe kwiatki pojawiły się, gdy te patrole zaczęły samodzielnie zatrzymywać ludzi , których uznali za podejrzanych. Osoba, która zdaniem patrolu „niepotrzebnie stała przy płocie" – zatrzymana. Ktoś, kto robił zdjęcia nad ranem – eskortowany do radiowozu policji. A w tle kamera, transmisja na żywo w sieci i komentarze niczym z pola walki.

Policja miała inne spojrzenie. Obywatelskie patrole nie mają prawa do stosowania przymusu, legitymowania czy kontrolowania dokumentów. Ich rola kończy się na powiadomieniu służb i odczekaniu spokojnie przy drodze albo na chodniku. Ale ci nowi stróże porządku czasem zdawali się myśleć, że ich reflektory i krótkofalówka to legitymacje policyjne i kajdanki.

Znakiem nowych czasów jest obywatelskie zatrzymanie motywowane politycznie. Instytucja, która miała być aktem obywatelskiej odpowiedzialności, została przemieniona w narzędzie ideologiczne. Grzegorz Braun, jak sam lubi mówić, „nie boi się stanąć w obronie wartości". I stanął – w szpitalu w Oleśnicy, próbując „zatrzymać" lekarkę, która wykonała absolutnie legalny zabieg. Przyprowadził swoich zwolenników, krzyknął kilka frazesów o „morderstwie" i „obronie moralności", a potem świat zobaczył spektakl obywatelskiego zatrzymania bez najmniejszych podstaw prawnych.

Nie mniej groteskowy jest przypadek Ruchu Obrony Granic – organizacji stworzonej przez zwolenników „obrony narodowej granicy". Ich patrole pojawiły się wzdłuż zachodniej granicy Polski, przekonane, że nielegalni migranci to plaga, która wymaga obywatelskiej interwencji.

I rzeczywiście, czterech mężczyzn bez dokumentów zostało przez nich „zatrzymanych" i doprowadzonych do policji. Media społecznościowe eksplodowały: „Ujęliśmy ich dla dobra Polski!" – mówiono. A potem cisza, bo nikt nie zadał sobie trudu, by spytać, czy brak dokumentów to przestępstwo? Czy ktoś może zatrzymywać człowieka tylko dlatego, że „wygląda obco"? Odpowiedź była prosta – nie. Ale to nie przeszkadzało ludziom Bąkiewicza traktować obywatelskiego zatrzymania jak aktu nader patriotycznego.

Na osobną uwagę zasługują łowcy pedofilów – ci, co zrobili z zatrzymań gatunek internetowy. Podszywają się pod dzieci, zwabiają delikwenta, czekają z telefonem w gotowości i bach. Kamera, oskarżenie, krzyk. Zatrzymany – nieważne, czy winny, czy nie – ma twarz w sieci. Oglądalność – gwarantowana. Dowody? Może później.

Problem w tym, że najczęściej łapią niewinnych. Że nie mają uprawnień. Że robią z prawa show, a z człowieka – ofiarę. Bo przecież zatrzymanie obywatelskie nie daje prawa do publicznej egzekucji. A ci panowie właśnie tak to rozumieją – jako casting do roli prokuratora, sędziego i kata w jednym. Liczy się publiczny lincz – bez dowodów, bez konkretnych ustaleń. Samosąd transmitowany na żywo.

Żaden polityk nie zada jednak pytania, czy naprawdę chcemy państwa, w którym każdy z telefonem w ręku ma stać na straży tego, co mu się wydaje prawem? Instytucja obywatelskiego zatrzymania miała być ostatecznym narzędziem w wyjątkowych sytuacjach. Tymczasem popularna narracja, polityczna retoryka i publiczne show to zmieniły. Stworzyły szeryfa, który włącza kamerę i pokazuje, że bez względu na to, co zrobił, właśnie uratował świat.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 07bed47261

Zemsta Freuda zza grobu

Kultura terapeutyczna

Czasy takie, że złote żniwa – poza dilerami narkotyków i politykami, dla których słońce zawsze świeci – mają psychiatrzy i psycholodzy, a raczej psycholożki, bo to głównie panie parają się tą drugą profesją. Jednak nawet osoby, które ich gabinety omijają szerokim łukiem, zmuszone są zmagać się w nierównym pojedynku z kulturą terapeutyczną, atakującą nas niczym mróz Syberię.

Co to za cholerstwo?

Uczucia nade wszystko

Nadrzędnym celem kultury terapeutycznej jest troska o nasze dobre samopoczucie. Straciły na znaczeniu kwestie, które kiedyś były kluczowe: to, co myślimy i w co wierzymy, jest nieistotne, na piedestał wynosi się to, co czujemy. Oczywiście, już nie wolno mówić o „negatywnych emocjach"; są tylko emocje „trudne": złość, wstyd albo smutek.

Prawicowcy upatrują w kulturze terapeutycznej przyczyny niszczenia więzi i atomizacji społecznej, rozkładu wspólnot i więzi (w tym rodzinnych i narodowych), a także nadwrażliwości i wyuczonej bezbronności wobec wszystkiego, co powoduje dyskomfort.

Lewacy z kolei zwracają uwagę na to, że kultura terapeutyczna legitymizuje kapitalizm, napędzany przez rynki konsumpcyjne. Owa „terapia" ma nas nauczyć podporządkowania kapitalizmowi, uznawania siebie samych za towar, który musimy sprzedać, dyscyplinowania jednostek, aby – wedle pewnej formuły – kupowały przedmioty, których nie potrzebują, za pieniądze, których nie mają, aby wywrzeć wrażenie na osobach, których zdanie ich w ogóle nie obchodzi.

Oczywiście, rację ma zespół Wielkie Ilości Piorunów Naraz, który w kawałku „Terapia", śpiewa:

„Wszyscy na terapii, wszyscy na terapii,
Blizny na udach, niedobory empatii.
Wszyscy na terapii, wszyscy na terapii,
Odkleiło nas na dobre, nikt nam pomóc nie potrafi".

Nie ulega wątpliwości, że

psychoterapia bywa niezbędna, aby po jakichś traumach ruszyć dalej do przodu. Powinno ją zapewniać państwo, oferując fachową pomoc. Lecz nie sposób pozbyć się wrażenia, że dla wielu osób z klasy średniej terapia stała się modą.

Co gorsza, po paru wizytach u pani psycholog takie osoby używają – a raczej nadużywają – języka terapeutycznego w relacjach z ludźmi wokół siebie. W ten sposób niejako „terapeutyzują" wszystkich dookoła, tworząc nieledwie dom wariatów.

Rys. WIDGET

Rozmawiając ze znajomymi, chwilami czuję klimaty rodem z genialnego filmu „Lot nad kukułczym gniazdem" i kurczowo chwytam się nadziei, że nie skończę jak grany przez Jacka Nicholsona bohater. Jednak niektóre moje koleżanki zachowują się jak filmowa siostra Ratched (Wielka Oddziałowa), powodując, że moje zwoje mózgowe się prostują, a ja muszę zwiększyć dawki leków przeciwlękowych i antydepresantów.

Doskonale z roli uczuć zdają sobie sprawę wszyscy, którzy chcą coś nam sprzedać – od tabletek na wzdęcia przez elektryczne samochody po polityków, łaszących się o lajkowanie i podawanie dalej ich wpisów w mediach społecznościowych.

Wszystkie Sławki to fajne chłopaki

Polscy politycy i polityczki powinni starać się nie o studia w Collegium Humanum (pozdrawiamy Krzysztofa Bosaka i Szymona Hołownię), lecz o zgodę na wykonywanie zawodu psychoterapeuty. Gremialnie tłoczą oni do łbów wyborców przekazy, które mają poprawić ich samopoczucie. Nie chcą zbytnio, aby ludzie ich cenili i szanowali za służbę społeczeństwu i kompetencje, lecz na wyścigi próbują elektoratowi poprawiać nastrój.

Pokazują, jacy są fajni, mili, przystojni, silni. Że troszczą się o Polaków i Polki niczym ojcowie, matki, dobrzy wujkowie i ciocie. Tu premier lepi z wnukami bałwana, tam prezydent idzie z młodzieżą na kebaba – choć przecież nie po to ci panowie zostali wybrani na najwyższe stanowiska w państwie.

Duszony popularnością Karola Nawrockiego i wzrostem znaczenia Grzegorza Brauna Sławomir Mentzen ruszył nawet z kolejnym formatem w mediach społecznościowych „Sprawa dla Mentzena", w którym będzie nową Elżbietą Jaworowicz. Gwoli ścisłości, „Sprawa dla reportera" zagościła na ekranach telewizyjnych w stanie wojennym i miała być dowodem, że państwowa telewizja staje po stronie „zwykłego" człowieka w zmaganiach z biurokracją. Teraz niczym rycerz na białym koniu (czy też hulajnodze) przybywa z odsieczą Fajny Sławek tępiący urzędniczą bezduszność. Było już „Piwo z Mentzenem", czekam zatem jeszcze na „Taniec (chocholi) z Mentzenem" i „Freak fighty z Mentzenem".

Mistrzami posługiwania się kulturą terapeutyczną są korporacyjni menadżerowie. Otóż potrafią oni często dość rozumnych ludzi omamić wizją wyjazdów integracyjnych, jakichś wspólnych działań charytatywnych, budowaniem rzekomo przyjacielskich relacji w zespole (nawet wyrzucają z roboty tak, że człowiekowi jest wręcz przykro, że sprawił im taki dyskomfort psychiczny). Zatrudnienie coacha, aby poprowadził warsztaty, jest tańsze, niż danie ludziom podwyżki, a jeszcze niektórzy się cieszą, jak firma dba o ich dobrostan.

Zbrodnia zasmucania

Przyznaję bez bicia, że chwilami na sali wykładowej zastanawiam się, czy jestem wykładowczynią, czy przepełnioną troską terapeutką, której celem jest poprawa samopoczucia studentów. Trzeba być bardzo ostrożną w przekazywaniu wiedzy, bo a nuż – uchowaj Boże! – zrani się czyjeś uczucia lub powie coś, co nie zgadza się z wizją świata, którą mają w swoich głowach. Wtedy ma się przejebane, bo obrażeni do żywego studenci nie zapomną zmieszać cię z błotem w swoich ocenach…

Kiedy powiesz młodym ludziom, że to, co myślą, lub to, w co wierzą, to stek bzdur, nastąpi obraza majestatu, pretensje i żale, czasem jawne, czasem utajone. Czasem zastanawiam się, kiedy każą mi wypić śmiertelny kielich z cykutą. Tyle że nie – jak Sokratesowi – za zatruwanie młodych umysłów, lecz za ich denerwowanie i zasmucanie.

Jak zauważa Leszek Nowak na łamach „Studiów Politologicznych": „Źródła triumfu kultury terapeutycznej są bardzo złożone. Krytycy czerpiący inspirację z marksizmu zwracają uwagę na zasadniczą rolę kapitalizmu. Ich zdaniem prywatyzacja problemów, które mają charakter polityczny, ekonomiczny bądź społeczny, sprzyja interesom kapitału i klasy politycznej, która ją wspiera. W ten sposób depolityzuje się ważne kwestie publiczne, osłabia potencjał buntu"…

Zresztą, po co nam bunt? Są filmy na Netflixie, ciepła woda w kranach, jesteśmy 20. potęgą gospodarczą świata, a Iga Świątek jeszcze wróci na szczyt rankingu tenisistek. A nawet jeśli nie, to biznes, reklama czy politycy ukoją, jak potrafią, nasze skołatane nerwy, a jak i to nie zadziała, sięgniemy po jakieś psychotropy…

Z.J.

Życie w dobrobycie

● Po 25 latach działania Programu Oczyszczania Kraju z Azbestu usunięto około 20 proc. z 8,5 mln ton zinwentaryzowanych wyrobów z tym rakotwórczym materiałem. Innymi słowy – w ćwierć wieku pozbyliśmy się jednej piątej problemu. Prosta matematyka mówi, że przy takim tempie resztę usuniemy w jakieś 100 lat. O ile oczywiście po drodze nikt nie wpadnie na pomysł nowej strategii, która cofnie nas do punktu wyjścia. Tymczasem rząd znów bierze się do roboty. Ministerstwo Klimatu i Środowiska pracuje nad projektem ustawy regulującej kwestię ostatecznego terminu usunięcia lub zabezpieczenia wyrobów wykonanych z azbestu. Tym razem tym terminem ma być 31 grudnia 2032 r. Do tego czasu właściciele nieruchomości mają usunąć albo zabezpieczyć azbest. Jak nie, to będą kary. A za brak złożenia deklaracji azbestowej ma grozić kara od 500 do 1 tys. zł, ale nie więcej niż 5 tys. zł rocznie. Za to, że ktoś ma na dachu eternit, który leży tam od 40 lat i dalej będzie leżał, bo właściciela nie stać na jego wymianę. Państwo przez trzy dekady nie było w stanie zorganizować skutecznego systemu usuwania azbestu, ale jest w stanie wystawić mandat. Projekt przewiduje obowiązek zgłaszania wyrobów azbestowych do Bazy Azbestowej. Kto nie zgłosił do tej pory, będzie miał sześć miesięcy od wejścia ustawy w życie, żeby to zrobić. Potem deklaracje trzeba będzie aktualizować. Regularnie. Azbest więc nie zniknie, ale za to będzie miał papier. Resort tłumaczy, że dotychczasowe grzywny były trudne do wyegzekwowania, bo wymagały udziału policji lub sądu. Teraz karę będzie mógł nałożyć urzędnik. To zawsze działa. Są też kary dla przedsiębiorców. Od 1 tys. zł do 20 tys. zł za brak ocen ryzyka, szkoleń albo zezwoleń. Ale firmy zajmujące się usuwaniem azbestu już dziś wiedzą, że najbezpieczniejszym elementem tego biznesu nie jest maska ochronna, tylko dobra księgowa. Projekt ma być odpowiedzią na unijną dyrektywę, której termin wdrożenia minął w grudniu. Minął, więc teraz trzeba pokazać, że się coś robi. Najlepiej ustawę. Problem w tym, że ustawy w tej sprawie były już wcześniej. Były programy, były mapy, były kampanie informacyjne. Azbest jednak jest cierpliwy. Leży, kruszeje, czeka i kombinuje, kogo by tu poczęstować rakiem.

● Nazwa The Access Alliance brzmi jak z folderu reklamowego. Za nazwą stoi Glovo, czyli firma, która żyje z tego, że ludzie jedzą. Często, dużo i najlepiej, jeżeli nie gotują sami. Dlatego kiedy Glovo zamawia badanie o jedzeniu w takiej instytucji, to warto czytać to, co między wierszami. Z badania zaś wynika, że co trzeci dorosły Polak w ciągu poprzedniego roku musiał pomijać posiłki, jeść mniejsze porcje albo wybierać najtańszą, niskiej jakości żywność. Mamy więc 35 proc. społeczeństwa, które realnie doświadcza ograniczeń żywieniowych. Do tego 46 proc. Polaków przyznaje, że w ostatnich 12 miesiącach bało się, czy wystarczy im pieniędzy na jedzenie. Brzmi to jak opis kraju biednego, a nie 20. gospodarki świata. Jeszcze gorzej robi się, gdy zajrzeć głębiej. Autorzy badania zauważają, że tylko 10 proc. Polaków potrafi poprawnie wskazać wszystkie objawy braku bezpieczeństwa żywnościowego, a zatem większość z nas nawet nie wie, jak wygląda problem, który dotyka milionów ludzi. Badanie przeprowadzono w listopadzie 2025 r. na reprezentatywnej próbie Polaków w wieku 18–70 lat, a odpowiadała za nie agencja Zymetria. Liczby więc nie wzięły się z sufitu. Pytanie brzmi raczej: po co Glovo te liczby? Oficjalna odpowiedź jest prosta. The Access Alliance ma „zmniejszać bariery w dostępie do żywności", „wspierać osoby dotknięte niepewnością żywieniową" i „współpracować z organizacjami społecznymi". Brzmi szlachetnie i zapewne w jakiejś mierze jest prawdziwe. Tyle że w kapitalizmie firmy rzadko wydają pieniądze wyłącznie z dobroci serca. Jeśli już finansują badania, to zwykle po to, by lepiej zrozumieć rynek. Z punktu widzenia platformy dowozowej wniosek jest banalny: gdyby ludzie jedli więcej, Glovo miałoby większe obroty.

● Składka zdrowotna w tym roku ma dać systemowi 184 mld zł, czyli o 11 mld zł więcej niż rok wcześniej. Skąd więc, mimo rekordowych wpływów, 23 mld zł dziury w budżecie Narodowego Funduszu Zdrowia? Bo system poboru składki to chaos, wyjątki i przywileje. Jedni płacą coraz więcej, inni nie płacą prawie nic, a jeszcze inni nie płacą wcale, choć z lekarza korzystają tak samo jak reszta. Resort zdrowia przyznaje, że składka zdrowotna wynosi 9 proc. i nie rośnie, ale wpływy rosną, bo rosną pensje i emerytury. A mimo to pieniędzy nie wystarcza, bo to państwo opłaca składkę zdrowotną za całkiem pokaźną grupę obywateli. Na tej liście są m.in. duchowni, osoby na zasiłkach, opiekunowie osób z niepełnosprawnościami, uchodźcy, aplikanci Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, służby mundurowe w trakcie kwalifikacji wojskowej oraz małżonka prezydenta RP. Ale nie ona jest problemem, bo ten stanowią rolnicy. Aż 60 proc. ubezpieczonych w KRUS nie płaci składki zdrowotnej w ogóle. Za rolnika z gospodarstwem poniżej 6 hektarów składkę płaci budżet. Rolnik mający więcej ziemi płaci 1 zł miesięcznie od hektara. Tylko osoby prowadzące tzw. działy specjalne produkcji rolnej płacą składkę w wysokości 433 zł miesięcznie. Spośród 942 tys. ubezpieczonych w KRUS dotyczy to zaledwie około 2,6 tys. osób. System zbierania na NFZ nie jest niesprawiedliwy przypadkiem – jest niesprawiedliwy z założenia. Zamiast jednej wspólnej kasy z jasnymi zasadami mamy mozaikę wyjątków, ulg i politycznych świętych krów. Każda próba ich ruszenia kończy się zapowiedzią „dyskusji", która trwa latami i prowadzi donikąd. PSL rolników ruszyć nie da. Na oskładkowanie mundurówki i sędziów nie pozwolą inni koalicjanci. A nawet gdyby się to udało, to dla NFZ nadal byłoby za mało.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

● Bo to, co się dzieje z państwową kasą na leczenie zakrawa na kpinę. Udowadnia to Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, która uzbierała 361 mln zł w całym 2024 r. Według rozliczenia aż 88,5 proc. środków z finału poszło na zakup aparatury. WOŚP wydała na sprzęt medyczny 249 mln zł. Jeśli przyjąć, że w 2025 r. proporcje się utrzymały, to mówimy już o wlaniu w polski system opieki zdrowotnej przynajmniej 256 mln zł. I zaczyna się robić niezręcznie. Bo państwo, które ściąga od obywateli setki miliardów złotych składki zdrowotnej, na inwestycje w ochronie zdrowia wydało od stycznia do listopada 1,1 mld zł. Mniej niż połowę tego, co samo zaplanowało – 42 proc. planu po zmianach i zaledwie 34,5 proc. pierwotnych założeń. Gdyby rząd nie uzupełnił wydatków w grudniu, to z pieniędzy WOŚP sfinansowane byłoby aż 25,1 proc. wszystkich wydatków majątkowych w publicznej ochronie zdrowia. Co czwarta aparatura, co czwarta inwestycja. Historyczny rekord. Poprzedni padł w 2024 r. i wynosił 14,4 proc. To zaś oznacza, że bez Orkiestry system by się nie domykał. I tu pojawia się pytanie, którego nikt nie chce zadać: skoro państwa nie stać na zakup podstawowego sprzętu medycznego, to co się dzieje z miliardami złotych ściąganymi co roku jako składka na NFZ? Bo WOŚP operuje setkami milionów. NFZ – setkami miliardów.

● Polacy chcą atomu tak bardzo, że bardziej się już chyba nie da. Według najnowszego badania zrealizowanego na zlecenie Ministerstwa Energii „za" rozwojem energetyki jądrowej opowiada się 92 proc. ankietowanych. Z tego aż 69,2 proc. „zdecydowanie". Przeciwników jest zaledwie 5,4 proc. Aż 80 proc. badanych zgadza się na budowę elektrowni jądrowej w swojej okolicy. Przeciwnego zdania jest 17,4 proc. A jeszcze kilka lat temu politycy straszyli, że „społeczeństwo nie jest gotowe", że „lokalne protesty", że „brak akceptacji". Z badania wynika też, że 94 proc. z nas uważa, iż elektrownie jądrowe zwiększają bezpieczeństwo energetyczne Polski. 88,1 proc. twierdzi, że atom jako niskoemisyjne źródło energii jest skutecznym narzędziem walki ze zmianami klimatycznymi. Polacy chcą atomu bardzo. Państwo jednak, zamiast budować elektrownie, woli budować narrację. Bo pierwsza elektrownia atomowa ma powstać. Druga ma być rozważana. Trzecia jest w planach. Od kilkunastu lat. Zmieniają się rządy, ministrowie i nazwy resortów, a jedno pozostaje niezmienne: chwalenie się, że „pierwsza ruszy już za moment". Tymczasem każdy rok zwłoki to kolejne miliardy wydane na najdroższy w świecie węgiel. Kolejne rachunki, kolejne dopłaty i kolejne opowieści o „transformacji". A gdyby Polska rzeczywiście chciała uniezależnić się od węgla i gazu, budowałaby trzy elektrownie jądrowe równolegle. Ale do tego potrzebne są decyzje, a nie wydawanie kasy na badania sondażowe.

TTJ

eprasa.pl 07bed47261

W czasach gdy tak wiele mówi się o walce o praworządność i recycling...

Twoje znaczy nie twoje

Pan Krzysiek ma samochód. A właściwie miał, zanim zrozumiał, że własność to pojęcie ruchome, zależne od chwili i interpretacji.

Mieszka w małym miasteczku powiatowym. Takim, gdzie wszystko jest blisko: urząd, warsztat, złom, parking pod blokiem i ludzie, którzy wiedzą więcej, niż mówią. Takim, gdzie życie toczy się wolniej.

Samochód pana Krzyśka był zwyczajny. Żadna perełka. Kilkanaście lat, kilka obić w stłuczkach, kilka zim więcej, niż przewidywał producent. Jeździł nim codziennie do pracy, do sklepu, czasem dalej, jak trzeba było. Dbał. Nie idealnie, ale uczciwie. Olej na czas. Hamulce, kiedy trzeba. Przegląd – zawsze przechodził, choć czasem na styk. Aż pewnego dnia nie przeszedł rzeczywistości.

Główka pracuje

Najpierw było stukanie. Potem zapaliła się kontrolka. Potem brak mocy. Aż w końcu samochód odmówił współpracy tak definitywnie, że nawet pan Krzysiek zrozumiał, że to nie jest chwilowe. Pojechał do warsztatu za torami. Tego, do którego jeździ pół miasteczka. Mechanik spojrzał, podrapał się po głowie, rzucił okiem pod maskę.

– Naprawić się da. Ale nie opłaca się – powiedział.

To zdanie nie brzmi groźnie. Ale w Polsce jest jak wyrok bez apelacji. Oznacza, że od tej chwili nikt już nie będzie myślał o swoim aucie jak o samochodzie. Od tej chwili to problem do rozwiązania.

Pan Krzysiek wrócił do domu. Zaparkował. Usiadł w kuchni. Zrobił herbatę. Spojrzał przez okno na auto. Samochód wyglądał normalnie. Nie jak wrak. Nie jak rzęch. Jak coś, co jeszcze wczoraj było potrzebne. Ale w tamtej chwili po raz pierwszy zobaczył je inaczej. Nie jak całość, ale jak zbiór rzeczy.

Znał się na motoryzacji. Wiedział, ile kosztują części. Sam kiedyś kupił używany alternator, bo nowy był drogi. Wiedział, że silnik w tym aucie jeszcze żył. Że skrzynia biegów chodziła bez problemów. Że drzwi nie były przegniłe. Że fotele były całe. I wtedy wpadł na pomysł, który wydaje się najbardziej logiczny na świecie. Skoro nie opłaca się naprawiać, skoro nie opłaca się sprzedawać w całości, skoro złom płaci za kilogramy, a nie za sens, to trzeba rzęcha rozebrać i sprzedać na części.

Złota rączka

To nie był plan kombinatorski. To nie było oszustwo. To było myślenie człowieka, który nie chce oddać wszystkiego za bezcen tylko dlatego, że tak jest łatwiej systemowi. Zaczął sprawdzać ceny. Zobaczył ogłoszenia. Zobaczył, że za samą skrzynię biegów dostanie więcej niż za złomowanie całego auta. Że fotele, półośki i wtryskiwacze to kolejne kilkaset złotych. Drzwi, siłowniki elektryczne, rozrusznik – wszystko się liczyło.

Usiadł z kartką. Policzył. I wyszło mu, że odzyska kilka tysięcy zamiast paru stów. Nie była to chciwość. To była obrona przed stratą. I właśnie w tym momencie pan Krzysiek popełnił największy błąd. Uznał, że logika i prawo idą w tym samym kierunku.

Rozbierał po pracy. W garażu. Powoli. Wystawiał ogłoszenia jak każdy inny człowiek sprzedający używane rzeczy. Ludzie przyjeżdżali. Rozmawiali. Płacili. Cieszyli się, że taniej niż w sklepie. Ten brał skrzynię, tamten lusterka. Jeszcze inny drzwi. Nikt nie pytał o gwarancję. Nikt nie pytał o rękojmię. Bo normalni kierowcy nie myślą takimi kategoriami. Pan Krzysiek też się cieszył. Rzęch plus robocizna zaczęły mieć sens wyrażany w złotówkach. Nie wiedział, że w tym momencie państwo już się o nim dowiedziało.

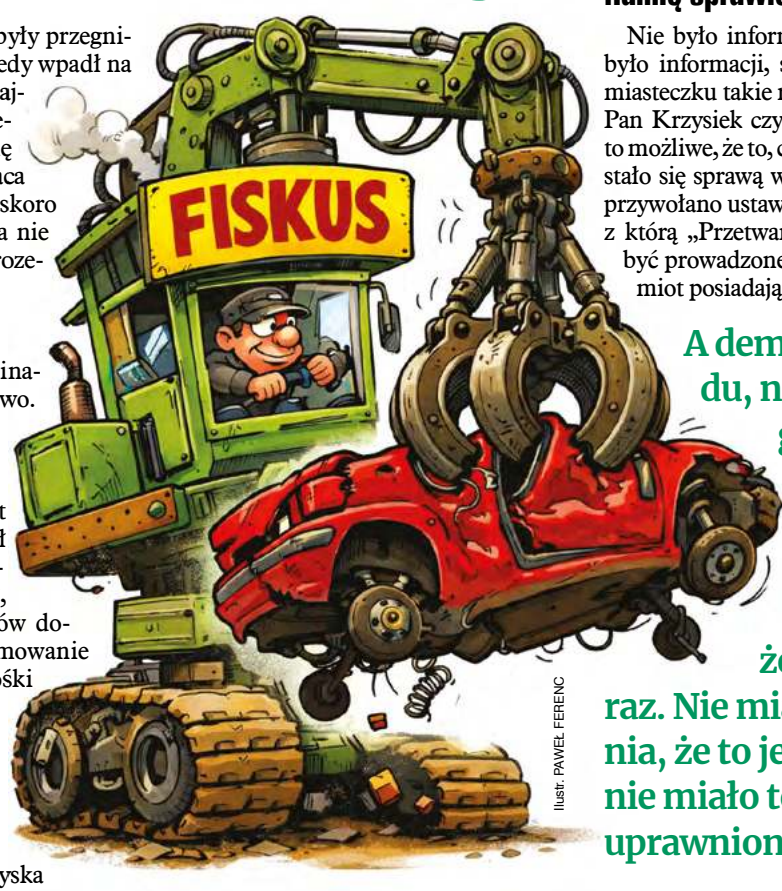

Ilustr. PAWEŁ FERENC

W polskim prawie samochód nie umiera wtedy, kiedy przestaje jeździć. On umiera wtedy, kiedy przestaje być używany. Zgodnie z art. 3 pkt 6 ustawy o recyklingu pojazdów wycofanych z eksploatacji pojazd wycofany z eksploatacji to taki, który: „stał się odpadem w rozumieniu przepisów o odpadach". Nie trzeba decyzji. Nie trzeba zgody właściciela. Nie trzeba świadomości. A skoro jest odpadem, to zgodnie z prawem pojazd wycofany z eksploatacji przekazuje się do stacji demontażu albo punktu zbierania pojazdów. Nie do garażu. Nie do właściciela. Do systemu.

Pan Krzysiek nie znał tego przepisu. Ale prawo uznało, że to jego problem. Pierwsze pismo przyszło z Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska. Delegatura powiatowa. Styl urzędowy. Zero emocji. „W związku z uzyskanymi informacjami dotyczącymi możliwości nielegalnego demontażu pojazdu wycofanego z eksploatacji…"

Ramię sprawiedliwości

Nie było informacji, kto zgłosił. Nie było informacji, skąd dane. W małym miasteczku takie rzeczy po prostu krążą. Pan Krzysiek czytał i nie rozumiał, jak to możliwe, że to, co robił w garażu, nagle stało się sprawą wojewódzką. W piśmie przywołano ustawę o odpadach, zgodnie z którą „Przetwarzanie odpadów może być prowadzone wyłącznie przez podmiot posiadający zezwolenie".

A demontaż pojazdu, nawet własnego, jest przetwarzaniem odpadu. Nie miało znaczenia, że zrobił to raz. Nie miało znaczenia, że to jego. Znaczenie miało to, że nie był uprawniony.

Drugie pismo przyszło z urzędu marszałkowskiego województwa. Już nie pytanie, ale informacja o wszczęciu postępowania administracyjnego. Wskazano możliwość nałożenia kary administracyjnej na podstawie art. 194 ustawy o odpadach, który przewiduje „administracyjną karę pieniężną w wysokości od 1000 zł do 1 000 000 zł".

Pan Krzysiek pierwszy raz naprawdę się przestraszył. Nie dlatego, że zrobił coś złego. Tylko dlatego, że nie miał o tym zielonego pojęcia. Kontrola, która potem przyszła, była formalna. Pytania. Zdjęcia. Brak zaświadczenia, o którym mowa w ustawie o recyklingu pojazdów, czyli dokumentu potwierdzającego demontaż w legalnej stacji. Bez tego dokumentu samochód wciąż istniał w systemie. Wciąż był na stanie pana Krzyśka.

Decyzja przyszła po paru miesiącach. Kara. Nie maksymalna. Ale wystarczająca, by zrozumieć przekaz. Przywalono mu 10 tys. zł. Państwo nie ukarało pana Krzyśka za chciwość. Państwo ukarało go za samodzielność.

Widząc taką kwotę, pan Krzysiek poczuł strach. Prawdziwy. Taki, który sprawia, że człowiek zaczyna szukać ratunku w papierach. Napisał odwołanie. Długie. Rzeczowe. Spokojne. Tłumaczył, że to był jego samochód. Że nie prowadzi działalności. Że nie wiedział. Że działał w dobrej wierze. Że nie zanieczyszczał środowiska. Powołał się na zdrowy rozsądek i na jednorazowość czynu.

Państwo odpowiedziało pismem. Krótkim. Formalnym. W piśmie stało, że brak wiedzy nie zwalnia z odpowiedzialności. Że intencja nie ma znaczenia. Że przepisy są jasne. No i że odwołanie zostało oddalone.

Spróbował jeszcze raz. Tym razem bardziej formalnie. Z cytatami. Z nadzieją, że ktoś zobaczy człowieka. Odpowiedź przyszła taka sama, tylko dłuższa. Więcej paragrafów. Więcej uzasadnień. Ten sam sens. Decyzja była ostateczna.

Na końcu samochód i tak trafił do legalnej demontażowni. Pieczątka. Zaświadczenie. I wszystko, czego prawo sobie życzyło. Pan Krzysiek zapłacił. Finansowo i psychicznie. Pieniądze z części nie wystarczyły nawet na połowę kary. Zostało poczucie, że zrobił coś nie tak, choć nie potrafił powiedzieć co. I wtedy zrozumiał coś, czego nie uczą w szkołach ani na kursach prawa jazdy: w Polsce możesz mieć samochód. Możesz go utrzymywać. Możesz za niego płacić państwu setki różnych podatków. Ale gdy przestaje jeździć, przestaje być nie tylko samochodem, ale twoją własnością, z którą powinieneś móc zrobić, co ci się tylko podoba. A odwoływanie się nie służy temu, żeby zmienić decyzję organu. Jest po to, żeby państwo mogło napisać, że decyzja była prawidłowa.

Bo państwo wie lepiej. Państwo się nie myli. A obywatel ma tylko jedną rolę – dostosować się i zapłacić. Nawet wtedy, gdy chodzi o coś, co jeszcze wczoraj było jego własnością. Bo prawo zdecydowało, co masz zrobić z tym, co tylko teoretycznie jest twoje.

TOMASZ BOROWIECKI

Zaorani

Nie konkuruję na rynku adrenaliny

Wchodzę rano w telefon: jedno powiadomienie, drugie, trzecie – i już czuję, że ktoś mi wpycha w gardło gotową emocję. „Pilne". „Szok". „Burza". „Mocne słowa". Ja jeszcze nawet nie zdążyłam zrobić kawy, a tu każe mi się mieć opinię, oburzenie i... wroga. I pomyślałam – wyobraź sobie – że my naprawdę żyjemy w kraju, w którym dominują wkurzeni ludzie wpatrzeni w ekran: jedni w ekran telefonu, inni w ekran telewizora, a wszyscy w ten sam ekran emocji, gdzie codziennie leci ten sam serial pt. „Kto komu przyłożył, kto kogo zaorał, kto się skompromitował, kto dziś jest potworem, a kto jutro zostanie potworem". I to jest tak zręcznie skrojone, tak zgrabnie wyreżyserowane, że człowiek ma wrażenie, iż uczestniczy w historii, kiedy tak naprawdę uczestniczy w… hałasie.

Hałas jest polityczny. Oczywiście. I mówię to jako osoba, której samo istnienie jest przez niektórych traktowane jak „temat", „kontrowersja", „agenda" – jakby moja transpłciowość była odcinkiem w ramówce, a nie ciałem, dokumentami, pracą, miłością, lękiem, codzienną logistyką. Więc nie, nie zamierzam udawać, że polityka to teatrzyk, który mnie nie dotyczy. Dotyczy. I to jak! Tylko że ja nie chcę pisać recenzji ze spektaklu, kiedy za kulisami ktoś przenosi sejf, konstruuje bombę albo podpala dżunglę – rozwala ten świat.

Bo bieżąca polityka jest jak piana na fali: biała, efektowna, fajna na zdjęciach, łatwo ją opisać: o, tu spieniło się mocniej, tu ktoś chlapnął, a może nawet chlupnął – ale od piany nie zrozumiesz morza. A morze, kochaniutcy, ma prądy, temperatury, głębiny, ciśnienia. Ma też te wszystkie niewidzialne rzeczy, które decydują o tym, czy w ogóle będzie sztorm, czy tylko drobna awanturka w mediach. Systemy są tym morzem: kapitalizm, system finansowy, prawo, instytucje, język władzy – mechanizmy, które produkują nasze skandale, afery i zwroty akcji z taką regularnością, jakby ktoś miał na to abonament.

I teraz przyjrzyjmy się temu bez zbędnej nabożności, bo nabożność – zwłaszcza ta polska, lubiąca klękać przed autorytetem i przed kursem waluty – jest śliska jak posadzka w galerii handlowej po deszczu. Publicystyka bieżączki robi z rzeczywistości konflikt plemion: nasi kontra oni, biało-czarno, kto dziś wygrał dzień, kto komu przypiął łatkę. To jest format, który z definicji redukuje to, co skomplikowane, czyli złożoność, bo „to się nie klika". Ze złożoności nie ma mema. Złożoność nie tworzy wroga. A bez wroga emocja nie ma gdzie się podziać.

Rynek oburzenia działa jak rynek wszystkiego innego: ma podaż i popyt, segmentuje klientów, mierzy zaangażowanie, optymalizuje dopaminę. I ja nie mam zamiaru w taki sposób konkurować na rynku adrenaliny. Nie dlatego, że jestem lepsza. Dlatego, że to rynek, na którym zawsze wygrywa najbardziej bezwstydny sprzedawca strachu.

Krótko: bieżączka podnosi temperaturę, ale obniża zdolność myślenia. Jest jak szybki cukier: miło wchodzi, szybko schodzi, zostawia zjazd i jeszcze większy głód. A ja – w tej mojej lewicowej, niepoprawnej kuchni – wolę podawać jedzenie, nie cukier. Coś, co syci, a nie tylko pobudza. Coś, do czego można wrócić po czasie. Coś, co nie psuje się po tygodniu.

„Ale jak to, bez bieżączki? Media muszą reagować" – słyszę już to westchnienie setki redaktorów. To miłe, praktyczne: „daj coś, co ludzie udostępnią". A więc dobrze. Reagujmy. Tylko reagujmy inaczej. Nie przez komentarz do nazwisk, tylko przez wyjaśnienie mechanizmu, który znów wypłynął na powierzchnię. Bo nazwiska są wymienne jak twarze w reklamie banku: raz uśmiechnięty pan w garniturze, raz uśmiechnięta pani w garniturze, raz uśmiechnięta „różnorodność" w garniturze, a kredyt ten sam. Mechanizm zostaje, nikt nawet nie dotyka systemu.

Weźmy choćby ten korporacyjny język państwa, który ostatnio przyjął się u nas jak nowa religia: „racjonalizacja", „optymalizacja", „elastyczność", „rynek pracy", „konkurencyjność", „odpowiedzialność fiskalna". To jest cała liturgia neoliberalizmu, tylko zamiast kadzidła jest Excel, zamiast święconej wody – rating, a zamiast (a czasem obok) „Bóg tak chciał" mówi się „rynek tak chce".

I ludzie, zwykli ludzie, na dole, słyszą te zaklęcia i mają się czuć winni, kiedy nie wyrabiają: bo nie są dość elastyczni, bo nie mają kompetencji przyszłości, bo nie zainwestowali w siebie, bo nie „zarządzili zmianą". A prawda jest taka, że to nie oni są wadliwi. Wadliwa jest gra. Wadliwy jest system.

To jest jak różnica między termometrem a diagnozą. Publicystyka termometru mierzy gorączkę: „ojej, jak wzrosło napięcie, jak się podzieliliśmy, jaki skandal". Publicystyka diagnozy pyta: skąd ta infekcja? Kto na niej zarabia? Jakie reguły sprawiają, że chorujemy cyklicznie? Jak to leczyć? I tu zaczynają się systemy: układ bodźców, pieniędzy, prawa, instytucji i mediów, które nie są neutralnymi okienkami na świat, tylko fabrykami świata.

I teraz najtrudniejsze: komentarz może szkodzić, nawet gdy jest „słuszny". Bo nawet trafny komentarz do bieżącej polityki potrafi utrwalić logikę plemienną: „nasi mądrzy, oni głupi", „nasi dobrzy, oni źli". A potem dziwimy się, że rośnie przemoc symboliczna i społeczna, że ludzie już nie dyskutują, tylko rzucają w siebie sloganami jak kamieniami, że wrogów nie chce się przekonywać, tylko unieważniać. Warto podnosić jakość debaty. Warto schodzić do źródeł i do korzeni.

Ale czytelnicy, internauci, telewidzowie chcą bieżączki. Jasne! Chcą też seriali, chipsów i tego ciepłego koca, którym można przykryć lęk. Tylko że bieżączkę mają wszędzie: w telefonie, w autobusie, w kolejce po kebaba, w poczekalni u dentysty, nawet na stacji benzynowej między hot dogiem a płynem do spryskiwaczy. A kiedy czują przesyt, kiedy ta cała błahość zaczyna się ulewać, to szukają ucieczki w sens: w nadzieję, w zrozumienie, w coś, co nie jest tylko kolejną porcją bodźca. Stąd rosnąca popularność niektórych dwugodzinnych podcastów na YouTubie.

Rozumiemy aktualność dzisiejszego skandalu i aktualność reguł, które produkują skandale co tydzień, co miesiąc, co kwartał. Ale jeśli każdy komentuje falę, to może lepiej opisywać prądy. A kiedy ktoś ci powie, że uciekasz od polityki, odpowiedz: ja nie uciekam, ja po prostu nie będę tańczyć w tej dyskotece, w której DJ-em jest algorytm, ochroniarzem reklama, a właścicielem klubu ten sam stary kapitał co zawsze. Czy nie lepiej wyjść na zewnątrz, popatrzeć na budynek, zobaczyć, kto ma klucze, kto płaci za prąd, kto sprząta rano konfetti po cudzych emocjach?

I na koniec, żeby było jasne: ja piszę, bo chcę zmiany. Modyfikacji. Obalenia tego, co udaje naturalne. Zła przebranego za dobro. Bo kapitalizm udaje naturę, przekonując nas: „tak jest", „tak musi być", „nie ma alternatywy". A ja mówię: jest alternatywa. Choćby taka, że przestaniemy karmić rynek oburzenia, a zaczniemy ćwiczyć wyobraźnię. I to jest moje małe felietonowe nieposłuszeństwo.

Puenta ma być mocna, więc proszę: jeśli polityka jest teatrem, to nie pytajmy, kto dzisiaj zagra Hamleta, zapytajmy, kto napisał scenariusz, kto zainkasował za bilety i dlaczego wmawia się nam, że mamy na to wpływ.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 07bed47261

ETYKA BEZBOŻNA

„Skandaliści" naszych czasów

Epstein nie zadzwonił

To takie śmieszne słowa: zepsucie, zgnilizna moralna, rynsztok. Cały nasz język moralny, na czele ze słowem „cnota", stał się w ciągu ostatniego półwiecza żenująco staroświecki. Różne złożyły się na to przyczyny, a jedną z nich jest ośmieszenie moralistyki religijnej, szermującej patetycznymi pouczeniami moralnymi formułowanymi w wyznaniowym idiomie „grzechu i rozgrzeszenia", a do tego niepokojąco skoncentrowanymi na seksie. Wraz z upadkiem autorytetu religii i degeneracją kościelnej moralistyki, posuwającej się do niemalże zredukowania pojęcia cnoty do spraw związanych z życiem seksualnym, cała nasza zdolność myślenia i mówienia o moralności została zdewastowana. Łajdak nie jest już łajdakiem, podłość podłością, a zepsucie zepsuciem. Są co najwyżej „skandale". A skoro tak, to łatwiej przychodzi nam akceptować i łajdactwo, i podłość, i zepsucie. Bo to tylko „skandale".

I co? Sprawa Epsteina też będzie „skandalem", tylko że może większym od innych? Dobre sobie! Bohaterowie tej niesłychanej, iście bezprecedensowej afery mogliby tylko marzyć o tym, żeby zostać zapamiętani jako „skandaliści". A kim są?

Sam Epstein jest zepsutym do szpiku kości erotomanem, stręczycielem i szubrawcem, który w pogoni za zyskiem, wpływami, a przede wszystkim seksem z coraz to młodszymi dziewczętami gotów jest posunąć się do wszelkiej podłości. Ale to nie o niego przecież chodzi, lecz o całe liczące setki, jeśli nie tysiące osób zastępy takich, którzy wiedzieli i korzystali, bądź wiedzieli i milczeli. Przekrój winowajców pod względem rodzaju i stopnia zawinienia jest ogromny. Są tu i pedofile, i „handlarze żywym towarem" (cóż za okropne wyrażenie!), i oszuści podatkowi, i innego rodzaju przestępcy gospodarczy, a do tego wszelkiego autoramentu szpiedzy strzegący brudnych interesów. A wszystko to spięte przez diaboliczny system gigantycznego szantażu, oparty na setkach ukrytych kamer, szkoleniu prostytutek w aranżowaniu ujęć najbardziej niekorzystnych dla podglądanych klientów, a także na archiwizowaniu milionów (!) dokumentów, czyli wszelkich maili, wiadomości tekstowych, rozmów telefonicznych, nagrań itd. Czegoś takiego świat nie widział.

Ta gigantyczna wytwórnia kompromatów, nadających się do szantażowania dosłownie setek polityków, przedsiębiorców, naukowców, ludzi mediów i artystów z całego świata, działała na niezawodnym silniku zasilanym czystym testosteronem. Bogaci i wpływowi mężczyźni w hurtowych ilościach dawali się wodzić za nos (a raczej za kutasa) obietnicą seksu z nastolatkami, a więc czegoś, co nawet przy wielkich pieniądzach jest trudno dostępne, gdy jest się na krótkiej smyczy żony, służby, dziennikarzy itd. Urwać się na dzień czy dwa i zaruchać! Oto i wielkie marzenie władców świata obracających miliardami i podejmujących decyzje zmieniające życie milionów ludzi. Cóż za smętna i żenująca konstatacja: panowie świata to dupki niezdolne poskromić własnych chuci, niewstydzące się okazać beznadziejnej wprost słabości ani przed innymi mężczyznami, ani przed niedorosłymi dziewczętami, a w dodatku tak zaślepione i ogłupiałe, że niezdolne domyślić się, że mogłyby zostać nagrane. Jak to mówią panie przy barze, sperma im mózgi zalewa.

Wszystko jest tu więcej niż banalne. Doprawdy, szkoda gadać. A jednak w tym wypadku szokującą nowością jest skala. Oto mamy dowód, że moralna zgnilizna (to tak à propos języka, który utraciliśmy, a szkoda) nie jest w świecie elit finansowych i politycznych żadnym wyjątkiem, lecz normą, a tym samym jeśli coś jest „skandalem", to chyba to, że jakiś frajer nie skorzysta z możliwości zwalenia się swoim kudłatym cielskiem na filigranową 15-latkę i wpompowania w wepchniętą w jej ciało śmieszną gumkę kilku mililitrów cuchnących sekrecji swoich smętnych jąder. Jakież to nieopisane szczęście dla niego, gdy może już zleźć i zasnąć, a i dla niej, gdy może już iść do łazienki, zwymiotować i się umyć! On i ona. Porozumienie bez słów.

Tak, świat jest o wiele, wiele gorszy, niż wydaje się na pozór, a ludzie, na których mieliśmy prawo liczyć, okazują się hołotą. A my? A my tacy mądrzy i na pokusy odporni? Otóż mam nadzieję, że tak. Bo do samej istoty zepsucia należy procesualność moralnej degradacji. Coś jest najpierw w miarę zdrowe, a potem się stopniowo psuje, aż stanie się zepsute. A psuje się od powodzenia, sławy, bogactwa.

Bo gdy osiągasz kolejne szczeble satysfakcji, to się nudzisz i rozczarowujesz, a przez to pragniesz więcej i więcej tego, co jeszcze niedostępne albo zakazane. I uważasz przy tym, że ci się to od życia należy.

Bo skoro jesteś taki dobry, zaszedłeś tak wysoko, zarobiłeś tak dużo, a nadal czujesz się nie w pełni zaspokojony, to chyba komu jak komu, ale tobie to „postawienie kropki nad i" przysługuje.

A tak się akurat składa, że nasze demokratyczne i wyzwolone czasy bardzo poważnie, a wręcz pruderyjnie traktują pewne sprawy, na czele z bezpieczeństwem i prawami osób należących do grup wrażliwych, a szczególnie dzieci i młodzieży. W odniesieniu zaś do nich staliśmy się najbardziej wrażliwi akurat na punkcie wszelkich nadużyć seksualnych. I oto nagle, jakieś trzy, cztery dekady temu, wielcy tego świata, królowie życia, a nawet panowie życia i śmierci znaleźli się w absurdalnym i nieznanym ich poprzednikom położeniu, w którym nie mogą w dowolnym momencie w dowolny sposób, na jaki mają chęć, zaspokoić swoich żądz seksualnych. Jeszcze tak niedawno każdy bogacz mógł sobie zamówić, co chce i kogo chce, do specjalnie w tym celu utrzymywanego mieszkania czy domu, nie martwiąc się tym, że mógłby mieć jakiekolwiek kłopoty. A teraz? A teraz nawet do kochanki chyłkiem na skuterze nie może pojechać, nawet pobaraszkować z cygarem w Gabinecie Owalnym – by wspomnieć dwa przykłady prezydenckiego formatu z obu stron Atlantyku.

Nie wiem, czy to jakaś pociecha, że my jednak nie skusilibyśmy się na seks z prawie dziećmi. Bo i co z tego? A zresztą i nam zepsucie całkiem obce nie jest. Szatan czuwa i kusi. Cholera wie, na co można by nas (mnie) namówić. I jeśli coś mnie chroni, to nie wielka i niezłomna cnota, lecz raczej wstyd i zwykłe lenistwo. Bo grzeszenie i świntuszenie kosztuje zwykle sporo wysiłku, a ja jednak wolę poleżeć albo pospacerować. Epstein mógłby sobie do mnie dzwonić. Dzwoń zdrów, Jeffrey! Kurde, ale dlaczego właściwie miałby dzwonić akurat do takiego nic nieznaczącego golca z końca świata jak ja? To, co się tu przed nami odsłania, nazywa się resentyment. Ale o tym innym razem.

JAN HARTMAN

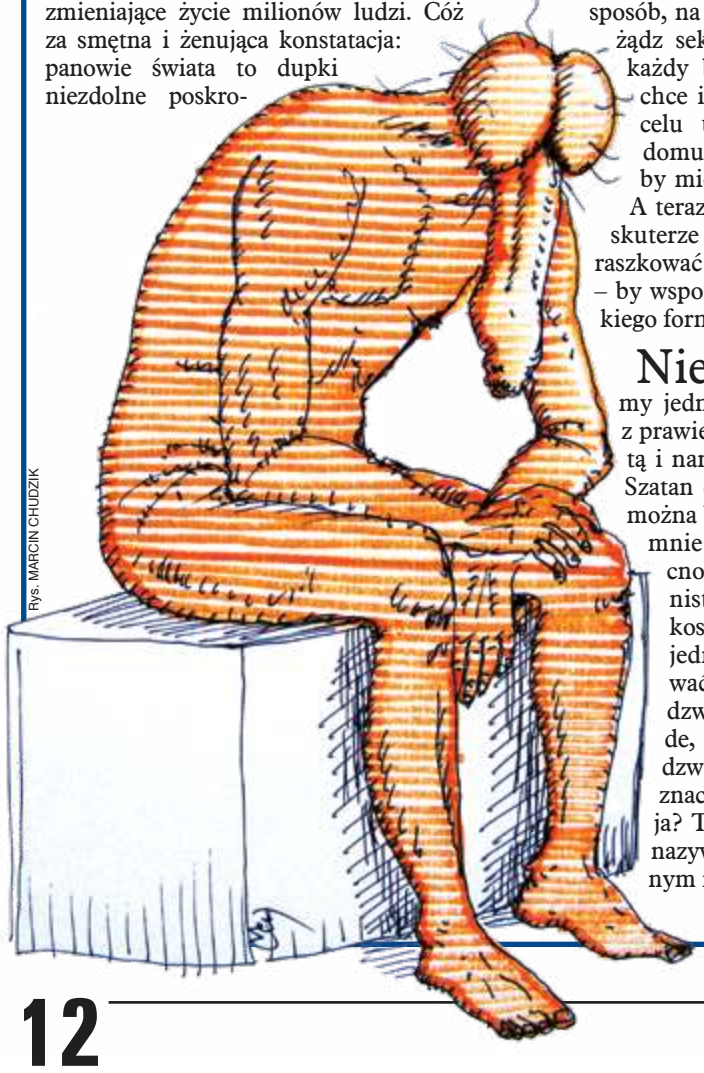

Rys. MARCIN CHUDZIK

Podwójne standardy

Kogo wolno bić

Gdyby Jeffrey Epstein był muzułmaninem, cała religia zostałaby poddana szczegółowej analizie i medialnemu atakowi – dokładnie tak, jak dzieje się od lat z islamem w kontekście terroryzmu.

Media łączyłyby jego zbrodnie z jego wyznaniem, a komentatorzy analizowaliby każdy tekst religijny i każdą cechę kulturową, próbując „wyjaśnić", dlaczego popełnił takie czyny. Politycy wykorzystywaliby jego przestępstwa w kampaniach i przemówieniach. Cała religia islamska znalazłaby się pod oskarżeniem – tak jak stało się wielokrotnie od czasu inwazji na Irak w 2003 r., gdy niemal każdy muzułmanin był postrzegany jako potencjalne zagrożenie, a islam był systematycznie stygmatyzowany jako „religia terroru".

Od tamtej pory islamofobia stała się w mediach i polityce narzędziem do kontroli społeczności muzułmańskich w Europie Zachodniej i USA, a przestępstwa popełniane przez innych – jeśli nie byli muzułmanami – były pomijane lub bagatelizowane.

Jeffrey Epstein nie był muzułmaninem. Jego ojciec był Żydem; jego matka również była Żydówką. Mimo to nikt nie próbował obarczać judaizmu odpowiedzialnością za jego przestępstwa ani zamieniać jego pochodzenia religijnego w narzędzie zbiorowej winy. Nagle zbrodnia stała się „czynem indywidualnym" – i to jest w istocie właściwa zasada: przestępca odpowiada wyłącznie za siebie, a żadna religia nie ponosi winy za czyn jednostki.

Rys. TOMASZ WIATER

Pozostaje jednak zasadnicze pytanie: dlaczego ta zasada nie jest stosowana zawsze?

Dlaczego muzułmanin jest automatycznie oskarżany lub stygmatyzowany przez media i polityków, podczas gdy Epstein traktowany jest jako jednostka?

Dlaczego w przypadku przestępstw popełnionych przez muzułmanów otwiera się dyskusję o religii, kulturze i środowisku, a w przypadku innych – drzwi do takich powiązań są zamykane natychmiast?

Te podwójne standardy widać jak na dłoni w polityce amerykańskiej. Kiedy wybuchły skandale z Epsteinem, Donald Trump był powiązany z niektórymi z nich, co czyniło jego relacje przynajmniej problematycznymi – moralnie i politycznie. Mimo to nie wykorzystano tej sytuacji do atakowania proizraelskiej polityki Trumpa.

Problem nie leży w pochodzeniu Jeffreya Epsteina ani w religii jego rodziców. Problemem jest podwójna miara, która pozwala silniejszym uniknąć krytyki, podczas gdy tożsamość słabszych staje się narzędziem osądu i represji.

Krytykowanie przestępcy – bez względu na jego religię – jest w pełni uzasadnione. Natomiast zamienianie całej religii w cel ataku lub używanie tożsamości przestępcy jako tarczy politycznej to jawna hipokryzja i manipulacja medialna.

Rasizm zaczyna się tam, gdzie dokonuje się uogólnień. Hipokryzja zaczyna się tam, gdzie miara zmienia się w zależności od tego, kto popełnił czyn.

W krajach zachodnich pojęcie „antysemityzmu" bywa czasem używane do ochrony pojedynczych Żydów przed słuszną krytyką, podczas gdy w tym samym czasie cała religia muzułmańska podlega stygmatyzacji. Ta podwójna miara osłabia wartości sprawiedliwości i równości, czyniąc prawdę wybiórczą – zależną od tożsamości sprawcy, a nie od samego czynu. Albo stosujemy jednolity standard wobec wszystkich, albo przyznajemy, że istnieje polityczna i medialna waga, która przechyla się według interesów i woli tych, którzy rządzą narracją.

Sprawiedliwość nie może być wybiórcza, a zasada, która nie obejmuje wszystkich, staje się jedynie narzędziem selektywnego wymiaru sprawiedliwości. Nie można przypisywać odpowiedzialności całej religii za czyny jednostki. Każdy człowiek odpowiada wyłącznie za siebie.

Krytyka przestępcy jest prawem, a zbiorowe obarczanie winą jest przestępstwem w sferze moralnej.

W przypadku Epsteina widzimy, że problem nie tkwi w religii ani pochodzeniu, lecz w podwójnych standardach – pozwalających jednych chronić, a innych karać według tego samego czynu, lecz przy użyciu różnych miar.

OMAR FARIS

Autor jest przewodniczącym Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Palestyńczyków w Polsce, członkiem Międzynarodowej Koalicji na rzecz Powrotu Uchodźców Palestyńskich.

Europa boi się dorosłości

Między Waszyngtonem a rzeczywistością

Czy większe poczucie bezpieczeństwa daje Europie święta wiara, że artykuł 5. NATO zadziała zawsze, bezwarunkowo i niezależnie od humoru lokatora Białego Domu, czy raczej chłodna, pragmatyczna polityka wobec Chin? Polityka, która zamiast wroga widzi w nich partnera – trudnego, twardego, ale realnego? To nie jest pytanie akademickie ani salonowe. Stało się palące w chwili, gdy Stany Zjednoczone zaczęły traktować sojusze jak umowy terminowe: do przedłużenia, renegocjacji albo zerwania. Europa słyszy te sygnały od lat. I wciąż udaje, że to tylko przeciąg, a nie zmiana klimatu. Myślisz, że mamy tylko problem z Trumpem, a on minie? Nie ryzykowałabym opierania na tym swoich nadziei.

Spójrzmy na liczby, bo one – w przeciwieństwie do polityków – nie mają emocji ani sentymentów. Unia Europejska to ponad 440 mln ludzi i gospodarka warta 19–20 bln dol. wciąż co do wielkości druga na świecie po USA i porównywalna z Chinami. Różnica polega na tym, że Europejczycy są kilkukrotnie bogatsi niż Chińczycy, a potencjał rynku, technologii i regulacji daje UE realną siłę globalną. Problem polega nie na tym, że Europa jest za mała. Problem polega na tym, że zachowuje się tak, jakby tej siły nie zauważała.

Stany Zjednoczone tę słabość czytają bezbłędnie. „America First" nie było wybrykiem Donalda Trumpa, lecz momentem, w którym brutalnie nazwano nową strategię: koniec idealizmu, powrót do polityki nagiej siły i transakcji. Europa w tej logice spadła do trzeciej kategorii ważności. Dowodzą tego nie tylko wojny celne, presja handlowa czy sprawa Grenlandii, ale przede wszystkim koncepcja C5 – nowej „rady świata" złożonej z USA, Chin, Rosji, Indii i Japonii. Bez

eprasa.pl 07bed47261

Cała ziemia Izraela

Państwo wspiera osadnictwo na terenach okupowanych

Izraelski gabinet bezpieczeństwa zatwierdził nowe regulacje, które zaostrzyły prawo okupacyjne na Zachodnim Brzegu Jordanu. Złamał tym samym porozumienia pokojowe z Oslo, prawo międzynarodowe i ustalenia z USA. Binjamin Netanjahu robi, co mu się podoba, bo wie, że nikt go nie powstrzyma.

Żydowski ruch osadniczy na Zachodnim Brzegu rozwija się od przejęcia kontroli nad tym obszarem od Jordanii przez Izrael po wojnie sześciodniowej w 1967 r. Co istotne, Izrael nie anektował terytorium (oprócz wschodniej Jerozolimy), lecz wprowadził okupację wojskową. Na mocy izraelsko-palestyńskich porozumień zawartych w 1993 i 1995 r. w Oslo obszar Zachodniego Brzegu podzielono na trzy strefy: A (zarządzaną przez Autonomię Palestyńską), B (pod jurysdykcją AP i Izraela) oraz C (pod kontrolą izraelską). Na terytoriach strefy C znajduje się przeszło 250 osiedli zamieszkanych przez 413 tys. Żydów.

Dura lex

W świetle prawa izraelskiego budowa w strefie C jest legalna, o ile uzyska się na nią zgodę rządu. W praktyce państwo przymyka oko także na te, które powstały bez rządowego glejtu. W świetle prawa międzynarodowego nielegalne są wszystkie, ponieważ naruszają IV Konwencję Genewską, która zabrania okupującemu państwu przenoszenia własnej ludności cywilnej na okupowane terytoria. Co więcej, zgodnie z międzynarodowym prawem okupacyjnym i zasadą ciągłości prawa miejscowego, na terenie Zachodniego Brzegu nadal obowiązują liczne przepisy prawa jordańskiego z lat 1948–1967. Między innymi ten kluczowy z 1953 r. dotyczący gruntów, zakazujący sprzedaży ziemi osobom niebędącym mieszkańcami Zachodniego Brzegu.

9 lutego izraelski gabinet bezpieczeństwa pod kierownictwem ministra finansów Becalela Smotricza i ministra obrony Israela Katza uchylił ten przepis. Tym samym Izrael złamał prawo międzynarodowe, naruszył porozumienia z Oslo i de facto wykonał krok w kierunku nieoficjalnej aneksji terytorium. „Pogłębiamy nasze korzenie we wszystkich częściach ziemi Izraela i kładziemy kres idei państwa palestyńskiego” – powiedział Smotricz, potwierdzając tym samym, że wieloletni mechanizm rozbudowy osadnictwa i wysiedlania ludności palestyńskiej stał się oficjalną polityką tego państwa. Netanjahu, tfu, diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach.

Pieszczota pięści

Uchylenie zakazu zakupu i sprzedaży gruntów palestyńskich dla okupantów (czyli osadników) na pierwszy rzut oka może wyglądać niegroźnie, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę dotychczasową strategię w eliminowaniu obywateli Palestyny ze strefy C. Raporty organizacji międzynarodowych, w tym izraelskich i palestyńskich, konsekwentnie dokumentują przemoc osadników w tym obszarze jako jeden z głównych czynników przymusowego wysiedlania Palestyńczyków. Pobicia, strzelanie, podpalanie domów i mienia, niszczenie pastwisk, studni, drzew oliwnych i infrastruktury – repertuar urządzanych przez Izraelczyków pogromów jest bogaty. Systematyczna strategia (często z udziałem lub przyzwoleniem sił izraelskich) prowadząca do etnicznego wypierania z punktu widzenia ONZ to zbrodnia wojenna i potencjalna zbrodnia przeciwko ludzkości. Cóż z tego? W 2025 r. udokumentowano ponad 1800 takich ataków w całym Zachodnim Brzegu, w większości w strefie C. W samym styczniu 2026 r. przemoc osadników doprowadziła do przesiedlenia blisko 700 Palestyńczyków. To więcej niż w całym 2024 r., kiedy takich osób było 621. Zmiana jordańskiego prawa tylko ten proceder przyśpieszy.

Izrael bardzo ułatwił procedury „zakupu” ziemi na Zachodnim Brzegu. Upubliczniono niejawne księgi wieczyste i usunięto mechanizmy chroniące je przed fałszerstwem. Jedno z drugim nie tylko pozwoli namierzyć palestyńskich właścicieli w celu nakłonienia ich do transakcji, ale przy okazji pomoże nielegalnie pozbawiać Palestyńczyków ziemi. Po przeszło 20 latach reaktywowano Komitet ds. Nabywania Gruntów. Instytucja działała w latach 80. i 90. XX w. w okresie intensywnej ekspansji osadniczej, ale przestała funkcjonować z powodu m.in. kontrowersji prawnych i międzynarodowych wokół statusu Zachodniego Brzegu.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Wznowienie działalności komisji pozwoli na zakup ziemi przez państwo, co ma przyśpieszyć rozbudowę osiedli i normalizację obecności żydowskiej na całym terytorium.

Władze Izraela nazwały ten manewr „zabezpieczeniem rezerw gruntowych pod rozwój osadnictwa na pokolenia”.

Gabinet bezpieczeństwa tak się rozhuśtał w bezczelności, że nowymi przepisami rozszerzył izraelską jurysdykcję cywilną i egzekucyjną na strefy A i B. Co to oznacza? Izraelska armia i instytucje cywilne otrzymały uprawnienia do interwencji w obszarach będących pod cywilną jurysdykcją Autonomii Palestyńskiej. Chodzi m.in. o sprawy ochrony środowiska, zagrożeń ekologicznych, zabytków archeologicznych oraz, he, he, ułatwienie egzekucji wyburzeń rozmaitych struktur i „nielegalnego budownictwa” – oczywiście palestyńskiego. Kompetencje dotyczące zagospodarowania przestrzennego w Hebronie przeniesiono z administracji palestyńskiej do okupacyjnej. Wzmocniono również izraelską kontrolę nad miejscami świętymi – Grobem Racheli w Betlejem i Grotą Patriarchów w Hebronie. Według organizacji Peace Now i B’Tselem to element szerszej strategii „cywilizowania okupacji” i pogłębiania suwerenności izraelskiej bez formalnej aneksji. Smotricz już w 2017 r. przedstawił słynny „Decydujący Plan”, który zakładał masowe osiedlanie Żydów na Zachodnim Brzegu i zmuszanie Palestyńczyków do akceptacji statusu podludzi lub emigracji. Szybko poszło i raczej nieprędko się zatrzyma.

Zbrodnia i kara

Decyzje ustalające nowe przepisy zostały podjęte przez mniejszy gabinet bezpieczeństwa, a nie pełny skład rządu, co ma utrudnić ewentualne odwołanie tych zmian na drodze prawnej. Wszelkie ustalenia tego organu mają charakter polityczno-wojskowy i operacyjny. Sądy – w tym Sąd Najwyższy w roli Wysokiego Trybunału Sprawiedliwości – od lat odnoszą się do nich bardziej powściągliwie i często uznają je za niezaskarżalne.

Najlepszy polityczny przyjaciel Binjamina Netanjahu Donald Trump w wywiadzie dla Axios z 10 lutego br. powiedział, że jest przeciwko aneksji Zachodniego Brzegu. To stanowisko wydaje się spójne z wcześniejszymi deklaracjami prezydenta USA, który wielokrotnie podkreślał, że na aneksję nie pozwoli, bo dał słowo krajom arabskim. Jednocześnie w tym samym wywiadzie nie groził – jak poprzednio – że Izrael straci poparcie Stanów Zjednoczonych w przypadku takiego wyskoku. Co więcej, stwierdził, że razem z Bibim mają obecnie wystarczająco dużo spraw do przemyślenia i nie muszą się zajmować Zachodnim Brzegiem. Interesująca pobłażliwość, zważywszy na fakt, iż izraelskie przejęcie spornego terytorium mogłoby zagrozić planowi Trumpa dla Gazy i szerszej stabilizacji regionu, w tym normalizacji z Arabią Saudyjską.

11 lutego na nadzwyczajnym posiedzeniu w Kairze Rada Ligi Arabskiej potępiła działania Izraela jako rażące naruszenie prawa międzynarodowego i wezwała społeczność międzynarodową (w tym Radę Bezpieczeństwa ONZ i USA) do podjęcia środków zapobiegawczych i karnych wobec okupanta.

Decyzję Izraela o rozszerzeniu kontroli nad Zachodnim Brzegiem Jordanu potępiła także Unia Europejska, co w praktyce nie będzie miało żadnego znaczenia dla rozwoju wypadków na terytoriach okupowanych. Paradoksalnie czarne chmury zawisły za to nad sprawozdawczynią ONZ ds. terytoriów palestyńskich Francescą Albanese. Włoska prawniczka dostała się pod ostrzał politycznej krytyki po wypowiedzi na forum w Dosze w Katarze z 7 lutego, na którym nazwała Izrael „wspólnym wrogiem ludzkości”. Wyłuszczyła, że większość świata, zamiast powstrzymać Izrael, uzbrajała go, dawała polityczne wymówki i schronienie, wsparcie ekonomiczne i zaplecze finansowe. – My, którzy nie kontrolujemy dużych ilości kapitału finansowego, algorytmów i broni, teraz widzimy, że jako ludzkość mamy wspólnego wroga – powiedziała. Francja, Austria, Niemcy i Wielka Brytania przy aplauzie World Jewish Congress natychmiast zażądały jej dymisji lub usunięcia ze stołka.

Tymczasem Netanjahu przekonuje, że walczy jedynie o suwerenność Izraela i prawdopodobnie pod tym hasłem wystartuje w wyborach jesienią 2026 r. Rząd Bibiego dzięki aneksji może liczyć na zwiększone poparcie izraelskich nacjonalistów. Po włączeniu zagarniętych terytoriów Zachodniego Brzegu do Izraela Autonomia Palestyńska pozostanie podzielona na sieć obszarów i wysepek, które nie wystarczą do utworzenia niepodległego państwa i znikną pod izraelskimi buldożerami.

IDALIA DUBICKA

---

choćby jednego europejskiego państwa. Bez symbolicznego krzesła przy stole. Bez Unii. To nie dyplomatyczne niedopatrzenie. To komunikat: nie macie nic do powiedzenia.

Najlepiej widać to w scenariuszu możliwego „Big Beautiful Deal” między USA a Chinami. Czy to możliwe? Swoje ostatnie spotkanie z przywódcą Chin (październik 2025 r.) w koreańskim Busan Trump skomentował jako wspaniałe i oceniał rozmowę na 12 punktów z 10 możliwych. Dodał, że uzgodniono „wiele ważnych decyzji”. Co panowie wykombinowali? Nie wiadomo, ale podręcznikowy realizm polityczny podpowiada, że nic dobrego dla Europy.

Wielcy gracze od zawsze handlują strefami wpływów, technologią i bezpieczeństwem peryferii. Tajwan jest tu przykładem niemal laboratoryjnym. Przez lata jego bezpieczeństwo opierało się na tym, że produkuje – poprzez firmę TSMC – najbardziej zaawansowane mikroczipy świata. To one napędzają globalną gospodarkę, od elektroniki użytkowej po systemy uzbrojenia. Ich brak sparaliżowałby świat szybciej niż brak ropy.

Dlatego właśnie USA rozpoczęły technologiczną ewakuację. Fabryki TSMC powstają w Arizonie, Europa buduje zakład w Dreźnie, Indie negocjują własne linie produkcyjne. Oficjalnie mówi się o „dywersyfikacji łańcuchów dostaw”. W praktyce to wyprowadzanie strategicznego zasobu z wyspy. Gdy mikroczipy przestaną być tajwańską polisą ubezpieczeniową, Tajwan straci swoją wyjątkową pozycję. A wtedy może stać się kartą przetargową w amerykańsko-chińskim układzie: technologia za stabilność, spokój w Azji za inwestycje i koncesje. Europa w tym układzie nie tylko nie siedzi przy stole. Ona nawet nie zna godziny rozpoczęcia negocjacji.

I właśnie w tym miejscu warto powiedzieć coś, co w europejskiej debacie brzmi niemal nieprzyzwoicie.

Chinom bardzo zależy na współpracy z Unią Europejską. W chińskich mediach rządowych i półoficjalnych powraca ten sam motyw: Europa to potencjalnie samodzielny partner strategiczny, który jednak sam rezygnuje z własnej podmiotowości.

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

W styczniu 2026 r. w jednym z tekstów rządowej gazety chińskiej padła teza, że największym problemem Europy jest nieumiejętność odróżnienia przyjaciół od przeciwników, bo „UE ulega USA na każdym kroku, kosztem własnych interesów, a mimo to nie zyskuje ani szacunku, ani wzajemności”. W jeszcze wcześniejszym tekście z 2023 r. wprost rozważano scenariusz „odłączenia się Europy od USA”, sugerując, że Europa może zostać do tego zmuszona sytuacją i powinna „chodzić na dwóch nogach”: Zachód i reszta świata oraz Chiny i Globalne Południe. To nie są wyrazy sympatii. To sygnały strategiczne.

Oczywiście problemem – zwłaszcza z polskiej perspektywy – pozostaje polityka Chin wobec Rosji. Tego nie da się zagadać. Ale właśnie suwerenna, pragmatyczna Unia Europejska byłaby dla Pekinu znacznie ważniejszym partnerem niż Rosja: kraj surowcowy, ale coraz bardziej niestabilny, traktowany instrumentalnie. Chiny myślą w kategoriach rynków, technologii i długiego trwania. Europa spełnia te kryteria. Co więcej, realny wpływ Chin na Rosję działałby jako czynnik hamujący eskalację zagrożeń wobec Europy. To nie obietnica pokoju. To narzędzie. A Europa ani Polska dziś nawet nie próbują go użyć.

Zamiast tego zachowujemy się jak wasal, który boi się spojrzeć w bok, żeby nie urazić seniora. Europa automatycznie ustawia się po stronie USA nawet tam, gdzie płaci za to realną cenę gospodarczą. Tymczasem Chiny odpowiadają dziś za około jedną trzecią światowej produkcji towarowej. Europa jest od tej produkcji strukturalnie zależna i jeszcze długo będzie. Udawanie, że można tę zależność przeciąć, jest nie tylko naiwne, ale i niebezpieczne. Pragmatyzm nie oznacza zauroczenia Pekinem. Oznacza negocjacje z pozycji siły. A siła, której się nie używa, przestaje być siłą.

Polska wpisuje się w ten europejski brak odwagi z gorliwością neofity. Wewnętrzna wojna polityczna – dwa pałace, dwa plemiona – sprawia, że w momencie geostrategicznego chaosu państwo zajmuje się sobą. Codziennie słyszymy, że nie ma alternatywy, że sojusze są święte, że tak trzeba. To zdania, które brzmią dobrze na konferencji prasowej. W polityce międzynarodowej znaczą jedno: ktoś inny podejmie decyzję za nas.

Europa ma wybór. Może dalej udawać, że świat składa się z dwóch bloków jak w podręczniku z lat 80., i czekać, aż ktoś ją łaskawie zaprosi do stołu. Albo może uznać, że jest trzecią siłą, i zacząć zachowywać się jak podmiot: integrować się, kończyć wewnętrzne wojny, prowadzić politykę wielowektorową. Bez nabożeństwa do cudzych „parasoli”. Bo jeśli Europa nie zacznie decydować sama o sobie, inni zrobią to za nią. A wtedy pozostanie już tylko zdziwienie. I to znajome, żałosne zdanie: „ale przecież byliśmy lojalni”.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 07bed47261

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Przedkładanie dobra zwierząt nad dobro ludzi to cynizm. Dostrzegamy w tym mutację marksizmu, czyli wywyższenie świata zwierząt i poniżenie roli człowieka w świecie.* ***Skupienie mediów, celebrytów i polityków na złym traktowaniu zwierząt przy jednoczesnym przyzwoleniu na zabijanie dzieci nienarodzonych to jaskrawy przykład cancel culture, jaka dokonuje się na naszych oczach. Współczesna antykultura dąży do eliminacji człowieka w całej jego egzystencji.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, „Nasz Dziennik" nr 31/2026, 8 lutego

■ *Myślę, że wszyscy pamiętamy, co znaczy słowo Eucharystia. Ono dosłownie znaczy dziękczynienie.* ***Święty Paweł powiedział: „W każdym położeniu dziękujcie, bo to jest wolą Boga". Bo nawet kiedy człowiek jest chory, cierpiący, kiedy mu czegoś bardzo brakuje, gdy zaczyna dziękować, to też widzi, ile ma nawet w swojej chorobie i biedzie.***

abp Andrzej Przybylski, homilia, Górnośląskie Centrum Medyczne w Katowicach Ochojcu, 13 lutego

■ *Sowieccy komuniści rzeczywiście wierzyli, że najpierw trzeba podpalić świat, zniszczyć to, co było, aby potem nastał upragniony pokój. Dziś siły lewicowo-liberalne walczą podobnie z kłamstwem i nienawiścią.* ***Manipulują, coraz bezczelniej kłamią, budzą złe emocje, w tym nienawiść, by pokonać oponentów i zbudować społeczeństwo, w którym królują prawda i zgoda. (…) Niektórzy nawet głoszą, że jeśli krytykujemy lewicowo-liberalne ideologie Zachodu, urzędników unijnych i ekspertów ONZ-owskich agend, to popieramy Putina. W tej sytuacji Kościół musi, bardziej niż kiedykolwiek, strzec swej tożsamości i bronić języka zakorzenionego w Biblii, Tradycji i Magisterium Kościoła.***

Dariusz Kowalczyk SJ, idziemy.pl, 6 lutego

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

■ *Polska wyszła z komunizmu,* ***ale niestety komunizm nie wyszedł z wielu Polaków.***

ks. Janusz Chyła, X, 5 lutego

■ *Liczba ludności w Polsce zmniejsza się w zastraszającym tempie. (…) Jakie są przyczyny tych samobójczych tendencji Polaków? Przez wiele lat mówiono o problemach ekonomicznych jako głównej przyczynie niskiej dzietności (…). Większym problemem jest nowoczesna mentalność czy też po prostu współczesne wygodnictwo.* ***Duże „zasługi" w szerzeniu tego rodzaju mentalności mają lewicowo-liberalne media, które mówią o zaletach wszelakiej emancypacji, niezależności, antykoncepcji, aborcji, „wolności" od małżeńskich i rodzinnych pęt. Polska ma kryzys związków międzyludzkich, nie kryzys dochodów. (…) W tej sytuacji pomoc małżeństwom i rodzinom, ale także pomoc młodym w dojrzewaniu do budowania trwałych związków stają się jednym z podstawowych zadań Kościoła.***

Dariusz Kowalczyk SJ, idziemy.pl, 13 lutego

■ *Brak otwarcia na prawdę, że śmierć zwierzęcia jest czymś innym niż śmierć człowieka, to tylko kolejne potwierdzenie zacierającej się w obecnej kulturze różnicy pomiędzy ludźmi a zwierzętami (…), na której bez wątpienia tracą obie strony, nasza kultura i przyszłość cywilizacji.* ***Dzisiejszy świat wyeliminowuje wartości, pozostawiając w ludziach pustkę. Potrzeba jej wypełnienia jednak nadal istnieje, dlatego ideologie są swego rodzaju opium dla ludzi, mają zagłuszyć tęsknotę za wartościami. Dziś trzeba powrócić do autentycznych wartości, do prawdy, dobra i piękna o ludziach jako osobach oraz o Bogu jako Stwórcy.***

dalej Bortkiewicz

KLECHA

Niezły mają burdel w tym sosnowieckim archeo

Zagłębie drapieżników

Opublikowano raport „Niezależnej Komisji Wyjaśnienie i Naprawa Spraw Wrażliwych Diecezji Sosnowieckiej", którą powołał w październiku 2024 r. bepe Artur Ważny. Diecezja ta stała się synonimem seksualnego rozpasania kleru pod łaskawym okiem biskupa, które to rozpasanie doprowadziło do kilku tragedii, w tym śmierci. Objąwszy diecezję, biskup Ważny postawił na transparentność i powołał dwie komisje – jedna zakończyła właśnie pierwszy etap prac.

Syzyfowe prace

Raport liczy niespełna 90 stron i opisuje 29 osób, które skrzywdziły co najmniej 50 małoletnich. Osób – bo to nie tylko księża (choć w zdecydowanej większości), ale także inni ludzie związani z Kościołem, jak organiści czy katecheci. Twórcy raportu przyznają, że może być on niepełny, bowiem archiwalna materia stawiała opór. Innymi słowy w kurialnych aktach panuje taki bałagan, że trudno się połapać. Kościół kat. lubi się kreować na instytucję wzorcowo uporządkowaną, w której każdy papierek ma swoje miejsce, a archiwa są doskonałym źródłem dla historyków czy genealogów. W praktyce nie dość, że prawie nikogo nie dopuszczają do dokumentów, to jak już dopuszczą, to okazuje się, że nie można niczego znaleźć. Zwłaszcza jeśli chodzi o niechlubne historie księży. Kler z nonszalancją traktuje teczki personalne, które mogłyby być materiałem dowodowym. A może ten chaos jest metodą mającą odstraszyć potencjalnych demaskatorów pedofilów w sutannach?

„Kwerenda dokumentów kościelnych przechowywanych w różnych miejscach była trudna głównie z uwagi na bałagan panujący w dokumentacji. Komisja zauważyła, że akta przechowywane są bez żadnych zasad, nie ma żadnej instrukcji kancelaryjnej, a dokumenty trafiają do poszczególnych teczek według uznania. Liczne kopie tego samego dokumentu odnajdywano w różnych, często przypadkowych miejscach. Dokumenty w teczkach personalnych księży są nieuporządkowane, nie ma w nich żadnej chronologii, poszczególne karty nie są paginowane – co oznacza, że w każdej chwili można z teczki jakiś dokument usunąć, a jego zniknięcia nikt nie zauważy" – czytamy w raporcie.

As wywiadu

Raport zaprezentowano uroczyście na dwóch konferencjach prasowych – w Dąbrowie Górniczej (słynącej z orgii na plebanii) oraz w Warszawie. Tę warszawską transmitowała TVP Info, czyli uznano to w mediach państwowych za wydarzenie doniosłe. Na warszawskiej konferencji bepe Ważny wielokrotnie podkreślał, że w raporcie chodzi przede wszystkim o skrzywdzonych, i oni są w centrum wszystkich wysiłków. Padło sporo patetycznych banałów o oczyszczaniu się Kościoła i utraconej wiarygodności, którą prace komisji mają przywrócić. – Chciałbym żebyśmy tym raportem dodali odwagi ludziom, aby po prostu przerywali taką kulturę milczenia, te mechanizmy ukrywania, ignorowania, bagatelizowania prawdy, które często w naszym społeczeństwie funkcjonowały czy funkcjonują – mówił biskup.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem ekscelencja pojawił się na kanale Bogdana Rymanowskiego na

Rys. OBYWATEL JANEK

YouTubie w wywiadzie na żywo. Polscy hierarchowie rzadko chodzą po niekościelnych mediach, ale akurat Rymanowski nie słynie z brutalnego traktowania swoich rozmówców, nawet gdy wygadują bzdury. Zasięgi ma ten dziennikarz ogromne, toteż i wieść o odważnym biskupie, który jako pierwszy wywlekł na światło dzienne grzechy księży, poszła w świat. Ważny nie był zbyt mocno dociskany, zresztą rzeczywiście zrobił więcej niż jego koledzy z episkopatu. Do Sosnowca przyszedł niespełna dwa lata temu, po wysłaniu na bardzo wczesną emeryturę bepe Grzegorza Kaszaka uchodzącego za jednego z głównych architektów sosnowieckiej Sodomy i Gomory. Poszukiwania następcy Kaszaka trwały długo, bo nikt nie chciał się pakować w to bagno. Kilkunastu odmówiło, dopiero Ważny się odważył.

Oczy szeroko zamknięte

Wszystko ładnie i pięknie, można się niemal złapać na ckliwą opowieść o nieustraszonym biskupie, który idzie pod prąd i działa wbrew interesom instytucji, ale warto przypomnieć, skąd przyszedł do Sosnowca. Zanim samodzielnie objął diecezję, był biskupem pomocniczym w Tarnowie, u boku niejakiego Andrzeja Jeża. Tenże Jeż wsławił się tym, że jako pierwszy polski biskup ma proces za tuszowanie pedofilii. Biskup pomocniczy to zaufany człowiek biskupa diecezjalnego, który wybiera sobie pomagiera spośród ulubionych księży i wnioskuje do Watykanu o awans dla niego. W 2021 r. Jeż osobiście wyświęcił na biskupa Artura Ważnego w tarnowskiej katedrze. Wcześniej latami funkcjonował w tej diecezji, gdzie rządził m.in. Wiktor Skworc oskarżany przez księży o traktowanie jak śmiecie. Diecezją tarnowską wstrząsały skandale seksualne, finansowe, samobójstwa księży. Ks. Artur Ważny musiał wszystko widzieć, ale próżno szukać śladów jego walki z patologiami w macierzystej diecezji. Gdy poszedł na swoje – z dala od własnych układów, znajomości i zależności – stał się szeryfem.

Sosnowiecki raport to katalog anegdotycznych wręcz procedur kościelnych stosowanych wobec drapieżców seksualnych. Przenosiny na inną parafię, zamiatanie pod dywan, zbywanie ofiar, robienie z nich wariatów – wszystko to, co można znaleźć w literaturze fachowej i popularnej na temat kleru. Przypadki opisane w raporcie są zanonimizowane – bepe Ważny tłumaczy, że to ze względu na dobro skrzywdzonych oraz na ich wyraźne życzenie. Diecezja jest mała – łatwo byłoby nawet po inicjałach czy okolicznościach zdemaskować bohaterów, a tego niektórzy sobie nie życzą. W związku z tym otrzymujemy ogólny dosyć opis historii, jakich pełno na co dzień w mediach. Molestował, przeniesiony, znowu molestował, znowu przeniesiony, w końcu umarł albo wypoczywa na emeryturze. Jak na okrzyknięty nowatorskim, prekursorskim i odważnym raport to trochę mało.

Modły zamiast hajsu

Szumna nazwa komisji „Wyjaśnienie i Naprawa" jest bardzo na wyrost, bo jej prace właściwie niczego nie wyjaśniają, a tym bardziej nie naprawiają. Owszem, opisują poszczególnych przestępców, ale nie zatrącają nawet o mechanizm, który pozwalał im funkcjonować latami. A przecież bepe Kaszak za coś w końcu został posłany na zieloną łączkę przed 60. rokiem życia. Tymczasem jego następca w rozmowie z red. Rymanowskim stwierdza na odczepnego, że on nie jest od sądzenia swoich braci biskupów i nara. Komisja pracowała od powstania diecezji, czyli od 1992 r. Do 2023 r. rządziło tam dwóch biskupów: Adam Śmigielski i wspomniany Kaszak. Przez cały ten czas sprawy toczyły się tak samo, czyli były zamiatane pod dywan.

Ale o systemowej odpowiedzialności szefów w raporcie nie poczytamy. Artur Ważny zapowiada, że to dopiero początek prac i raportów, ale od tej instytucji żyjącej z obietnicy cudów nie należy cudów oczekiwać.

Znany krytyk współpracowników z firmy ks. prof. Andrzej Kobyliński postuluje likwidację diecezji sosnowieckiej. Uważa że jest ona nie do uratowania i należy ją zaorać. Byłoby to zbyt wygodne dla kleru rozwiązanie: nieistniejąca diecezja nie mogłaby przecież występować jako strona w procesach, ani tym bardziej wypłacać odszkodowań. Jedynie słuszna droga likwidacji to bankructwo finansowe. Moralne nastąpiło już dawno, ale bankrut nic sobie z niego nie robi. Rozczarowanych postawą biskupów (o ile kogoś jeszcze ich postępowanie dziwi) pocieszamy: na pierwszy piątek Wielkiego Postu, czyli dzień pojawienia się tego numeru „NIE", przypada „Dzień modlitwy i solidarności z Osobami Skrzywdzonymi wykorzystaniem seksualnym" – biskupia inicjatywa mająca zamodlić oczy i zadać kłam opiniom, że episkopat nic nie robi dla ofiar księży.

MATT KOBOSKO

Watykańskie wątki afery Epsteina

Papież @

W korespondencji Jeffreya Epsteina każdy znajdzie coś dla siebie. W oceanie maili nie brak również odniesień do Kościoła kat., który odgrywa w światowej polityce większą rolę, niż jego personel skłonny jest przyznać.

W mediach pojawiły się sensacyjne nagłówki utrzymane w tonacji: „współpracownik Trumpa chciał obalić papieża". Bohaterem tych doniesień jest Steve Bannon – były doradca aktualnego prezydenta USA oraz ideolog ruchu MAGA. Tenże pisał do Epsteina: „zniszczmy papieża Franciszka!", którego uznawał za „godnego pogardy" poplecznika „globalistycznych elit" i krzewiciela „kulturowego marksizmu" stojącego na drodze do realizacji nacjonalistycznej wizji świata umiłowanej przez trumpistów. Ewidentnie uważał papieża za poważnego gracza politycznego, z którym należy się liczyć, a gdy fika – zwalczać.

Bannon – żeby osłabić autorytet Franciszka – chciał zekranizować książkę „Sodoma" Frédérica Martela opisującą seksualne uwikłania i przygody najwyższych dostojników kościelnych, ze szczególnym uwzględnieniem tych pracujących w Watykanie. Epstein miał być producentem wykonawczym. Martel, sam homoseksualista, opisał hipokryzję purpuratów, którzy w oficjalnych dokumentach i wystąpieniach potępiają gejów, a po robocie sypiają z chłopami i chłopcami na potęgę. Bannon widział w książce potencjał, pomijał wszakże fakt, że „Sodoma" była wymierzona w hipokryzję hierarchów konserwatywnych, bliskich mu światopoglądowo. Steve Bannon – stary wyga w przemyśle propagandowym – uznał, że należy walić w kler w każdy możliwy sposób, dopóki u sterów Kościoła kat. jest Franciszek. Frédéric Martel zaproszenia do tej gry nie przyjął – może i szkoda, bo film mógłby być niezły, a książka ma hollywodzki potencjał.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Wyznawcy teorii spiskowych mogą tu znaleźć pożywkę. Papież Franciszek wyzionął ducha dzień po tym, jak odwiedził go w niedzielę wielkanocną J.D. Vance – wiceprezydent u Trumpa. Papież się zmienił, jednak wiele się nie zmieniło. Tyle dobrego, że zastąpił go Amerykanin, ale pod względem politycznym kontynuuje linię poprzednika. Szczególnie aktywny jest w temacie imigracji –

często podkreśla, że katolicka postawa „za życiem" oznacza nie tylko bycie antyaborcyjnym, ale też proimigranckim.

Nie należy w tym jednak upatrywać bezinteresownej postawy chrześcijańskiej, a zimną kalkulację i polityczny cynizm. Kościół kat. imigrantami stoi – w USA to oni stanowią lwią część aktywnych wiernych. 29 proc. tamtejszych dorosłych katolików to osoby urodzone poza USA, a kolejne 14 proc. to osoby urodzone w USA, ale wychowane w rodzinach imigranckich. 36 proc. wszystkich dorosłych katolików w USA jest pochodzenia latynoskiego. Kolejne 4 proc. to Azjaci, 2 proc. czarnoskórzy. Razem więc kolorowi stanowią niemal połowę amerykańskich katolików. Nic dziwnego, że papież się o nich upomina. W Polsce hierarchowie mogą sobie (jeszcze) być rasistami i nacjonalistami, ale w Stanach to już nie przejdzie. Tak to już czasem bywa, że w imię własnego interesu nawet kler staje po dobrej stronie.

MK

eprasa.pl 07bed47261

Czysty sport na żółtym śniegu

Polityka w cieniu Alp

Zimowe igrzyska olimpijskie w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo miały być jak folder z biura podróży: białe szczyty, czyste emocje, wzruszenie przy hymnach. Ale jak to zwykle na igrzyskach bywa, polityka wjechała na sankach bez hamulców, moralność wylądowała twarzą w śniegu, stojący na straży czystości sportu Międzynarodowy Komitet Olimpijski (MKOl) próbuje udawać, że to tylko lekki podmuch wiatru, a warunki dla wszystkich są takie same i sprawiedliwe.

Zimowa olimpiada jest już na półmetku. Inaczej niż dwa lata temu w Paryżu podczas otwarcia nie pokazano baby z brodą, za to Andrea Bocelli zaśpiewał arię „Nessun dorma" z opery Pucciniego, Mariah Carey wykonała swojskie „Volare", więc tym razem nawet Przemysław Babiarz nie dostrzegł w ceremonii śladów komunizmu.

Kontrowersje zaczęły się jednak szybko po otwarciu igrzysk. Ukraiński skeletonista Władysław Heraskewycz planował wystartować w kasku z wizerunkami sportowców-żołnierzy poległych w wojnie z Rosją. Nie było tam hasła wyborczego, logotypu partii czy sloganu. Były twarze ludzi.

I cyk – dyskwalifikacja. MKOl tłumaczył się brakiem możliwości innej decyzji, bo przepisy są jasne. Artykuł 50 punkt 2 Karty Olimpijskiej stanowi: „Na obiektach olimpijskich lub innych terenach nie jest dozwolona żadnego rodzaju manifestacja lub propaganda o charakterze politycznym, religijnym lub rasowym".

Co ciekawe, ten sam artykuł w punkcie pierwszym zakazuje reklamy i promocji marek, ale tutaj możliwa jest w drodze wyjątku zgoda komitetu. Dla promowania sponsora wyjątek można zrobić, dla uhonorowania zmarłych kolegów już nie.

Heraskewyczowi wielkodusznie pozwolono pozostać w wiosce olimpijskiej, ale startować nie może. Wychodzi na to, że pamięć o ofiarach jest niebezpieczniejsza niż zdrada, kradzieże oraz głupie tweety. Zobaczmy, co działo się obok saneczkowego toru.

Rys. WIDGET

Złoto i wyrok w pakiecie

Norweski biathlonista Sturla Holm Lægreid zdobył brąz i w wywiadzie zamiast mówić o strzelaniu, odpala pocisk miłości do swojej byłej. – Sześć miesięcy temu spotkałem miłość mojego życia. Trzy miesiące temu popełniłem mój największy błąd i zdradziłem ją – wyznał Norweg w wywiadzie dla krajowej telewizji po zawodach.

Olimpijska strefa wywiadów zamieniła się w odcinek „Narciarz szuka żony". Sportowiec przyznał chwilę później, że publiczne wyznanie win oraz łzy miały pomóc odzyskać ukochaną. Poszło mu w tym dużo gorzej niż w zawodach na stadionie. Norweskie tabloidy dotarły do dziewczyny, która nie była zachwycona, że o jej związku i zdradzie dowiedział się cały świat. Lægreid przebaczenia nie dostał, za to media i internet dostały content premium.

I jakoś nikt nie mówił o naruszaniu powagi igrzysk. Zdrada i związkowa terapia na wizji to prywatna sprawa. Kask z twarzami poległych? O nie, to już wielka polityka.

Złoto w kobiecym biathlonie zdobyła Francuzka Julia Simon. Przed olimpiadą została wcześniej skazana na trzy miesiące więzienia w zawieszeniu i 15 tys. euro grzywny za kradzież kart kredytowych swojej koleżanki z reprezentacji Justine Braisaz-Bouchet oraz pracującego dla reprezentacji fizjoterapeuty.

Simon użyła kradzionych kart, by robić zakupy na ponad 2 tys. euro i wielokrotnie wypłacała drobne kwoty. Karty zabierała, korzystając z okazji, bo na zgrupowaniach mieszkała z koleżanką w jednym pokoju. Początkowo kłamała, że to nie ona, że ktoś się pod nią podszywał, ale w końcu w sądzie przyznała się do wszystkiego, tłumacząc jednak, że nie potrafi wyjaśnić swojego zachowania. Ręka sama klikała PIN.

W Mediolanie? Złoto. Hymn. Uśmiechy, wspólna radość z okradaną koleżanką i trenerem. Czyli kradzież to część sportu. Kask z twarzami poległych to już polityka. Logika MKOl jest bardziej elastyczna niż kombinezony skoczków po niedozwolonych modyfikacjach.

Brytyjski narciarz (amerykańskiego pochodzenia) Gus Kenworthy podczas trwających igrzysk, na których reprezentuje Wielką Brytanię, wrzucił na swój profil na Instagramie zdjęcie napisu „Jebać ICE" wykonanego naturalnym, żółtym atramentem na śniegu. To manifest sportowca przeciwko polityce antyimigracyjnej USA oraz brutalności policji wdrażającej tę politykę na ulicach amerykańskich miast. W tym przypadku kary jednak nie było. Cytowane wyżej przepisy MKOl, za które zdyskwalifikowano Ukraińca, zabraniają bowiem politycznej propagandy, ale przecież tylko „na obiektach olimpijskich lub innych terenach". Social media zawodników są wolne od olimpijskiej cenzury. A miejsca, w którym Kenworthy wykonał żółty napis na śniegu, nie ustalono – prawdopodobnie zdjęcie było zresztą zrobione przez AI.

Mniej szczęścia miał inny olimpijczyk, który nie popiera polityki USA. Reprezentujący Stany Zjednczone freestyle'owiec Hunter Hess pytany przez dziennikarzy o obywateli zastrzelonych i aresztowanych przez ICE powiedział, że noszenie flagi nie oznacza popierania wszystkiego, co robi jego kraj. Trudno się nie zgodzić. Nawet w Polsce nie wymagamy od sportowców, by popierali wszystkie sto niedokonań Koalicji Obywatelskiej.

Kilka dni później we freestyle'u na swoje social media wjechał Donald Trump. Nazwał Hessa frajerem, sugerując, że nie powinien w ogóle znaleźć się w kadrze i on, Trump, kibicować mu nie będzie. Za prezydentem do ataku rzuciły się sprzyjające prezydentowi media. Hess za niewinną i cywilizowaną wypowiedź znalazł się w środku politycznej wojny, a igrzyska znowu obok przepisów MKOl zamieniły się w polityczny ring Freak MMA.

Polski medal z rosyjskim rodowodem

Nad Wisłą zimowa olimpiada dostarczyła także emocji innych niż tylko sportowe. W łyżwiarstwie szybkim dość niepodziewanie srebrny medal zdobył dla Polski Władimir Semirunnij. Mało kto kojarzył panczenistę, bo to Rosjanin, który po agresji na Ukrainę odciął się od polityki swojego kraju i zmienił federację. Polskie obywatelstwo dostał na niespełna rok przed igrzyskami.

Jedni mówią: odwaga i gotowość do obrony swoich przekonań wbrew opresyjnej machinie państwa. Inni: pragmatyzm. Jeszcze jako junior w styczniu 2022 r. Semirunnij na mistrzostwach świata zdobył dla Rosji brązowy medal. Ale już kilka dni później po wybuchu wojny jako Rosjanin był wykluczony ze startów w międzynarodowych rozgrywkach i zmiana ojczyzny uratowała mu obiecującą karierę.

Nowy Polak Władimir Semirunnij o polityce ani o prywatnych zdradach nic nie mówił, skromnie zapowiedział oddanie medalu klubowi Pilica z Tomaszowa Mazowieckiego, gdzie trenował przed turniejem. Kasku ze zdjęciami poległych kolegów założyć na pewno nie planuje.

Nie tylko Polska skorzystała sportowo na wojnie w Ukrainie. Oficjalnie MKOl zawiesił komitety z Rosji i Białorusi i nie dopuścił ich do udziału w igrzyskach za naruszenie pokoju. Zostawiono jednak dwa tylne wejścia.

Oficjalnie Rosjanie i Białorusini mogą występować na olimpiadzie, ale jako sportowcy „neutralni", niereprezentujący swoich krajów. Nie mogą nosić flag, a w przypadku wygrania medalu nie odsłuchają hymnu podczas jego wręczania. W ten sposób na igrzyska pojechało 13 sportowców z Rosji i Białorusi.

Ale jest też drugi sposób na udział w igrzyskach. Z flagą i hymnem. Wystarczy zmienić kraj i występować dla innej federacji. Dużo więcej Rosjan zdecydowało się pragmatycznie zmienić obywatelstwo i na turnieju reprezentować nowe ojczyzny. Widać to najmocniej w łyżwiarstwie figurowym, gdzie Rosja od lat jest potęgą. W tej dyscyplinie ponad 20 Rosjan występuje m.in. dla Gruzji, Armenii, Polski, Niemiec, a nawet Australii i Hiszpanii. Zmiana narodowych barw wobec polityki swojej ojczyzny manifestacją polityczną w myśl przepisów nie jest.

Pięść w górę i do domu

To oczywiście nie pierwszy raz, kiedy igrzyska płoną polityką, a komitet karze zawodników za gesty. Letnie igrzyska olimpijskie w mieście Meksyk w 1968 r. odbywały się kilka miesięcy po zabójstwie w USA lidera walki o prawa obywatelskie dla czarnych obywateli Martina Luthera Kinga. Dzisiaj King ma swoje państwowe święto, ale wtedy konflikt rasowy w Ameryce był w gorącej fazie.

Dwaj czarni sprinterzy Tommie Smith i John Carlos podczas odbierania medali za bieg na 200 m weszli na podium bez butów, a gdy grano hymn, podnieśli zaciśnięte pięści w geście Black Power. Była to jasna deklaracja protestu przeciwko dyskryminacji rasowej i gest poparcia dla Partii Czarne Pantery.

MKOl zadziałał szybko i bez wahania. Obaj czarni sportowcy zostali wyrzuceni z igrzysk, zdyskwalifikowani dożywotnio oraz usunięci z reprezentacji USA.

Dzisiaj są bohaterami. Ponad 40 lat później komitet olimpijski uznał kary dla Amerykanów za niezgodne z ideą olimpijską.

Na olimpiadzie w Tokio w 2021 r. zawodnicy uzyskali dyspensę od MKOl na gesty polityczne: mogli klękać przed startem w geście solidarności z ruchem Black Lives Matter, byle nie na podium. Czyli polityka była OK, o ile odbywała się w wyznaczonej strefie, jak palenie w szklanej klatce na lotnisku.

Trudności z logiką i polityką miewa też światowa organizacja piłkarska – FIFA. Podczas mistrzostw świata w Katarze niektóre federacje chciały grać z opaskami dla kapitanów w tęczowych barwach i z napisem „One Love". Co oczywiście nie podobało się obrzydliwie bogatym i homofobicznym gospodarzom. FIFA zagroziła żółtymi kartkami, więc większość drużyn szybko zmieniła zdanie. Bo idea fajna, ale pauzować za nią w meczu już się mniej opłaca.

Problem z igrzyskami nie polega na tym, że nagle teraz we Włoszech pojawiła się na nich polityka. Ona była tam zawsze. Problem polega na tym, że zasady są stosowane jak przepisy prawa pracy w Polsce – surowo wobec jednych, z przymrużeniem oka wobec innych.

Kask z twarzami poległych? Zakaz. Zdrada i terapia par na wizji? Ciekawy kontent. Okradanie koleżanki z zespołu? Medal. Polityczny napis na śniegu? Artystyczna ekspresja. Krytyka kraju? Twitterowa burza z prezydentem. Zmiana ojczyzny przed turniejem? Jeśli jesteś dobry i masz szansę na medal, to czemu nie.

Sport nie jest tak sterylny jak rosyjskie laboratorium antydopingowe. Nigdy nie był. Był areną zimnej wojny, konfliktów kulturowych i rasowych, bojkotów, dopingu wspieranego przez państwo i gestów, które po latach uznawano za bohaterskie i ważne. Władysław Heraskewycz został za swój kask doceniony szybciej niż kiedyś czarni sportowcy z USA za podniesione pięści. Prezydent Ukrainy wręczył mu państwowy Order Wolności, a oligarcha Rinat Achmetow, prezes klubu piłkarskiego z Doniecka, ogłosił publicznie, że przekaże zawieszonemu sportowcowi 200 tys. dolarów – tyle, na ile ukraińska federacja wycenia zdobycie złotego medalu.

Może więc przestańmy udawać, że istnieje jakaś mityczna czysta strefa bez polityki. Bo jeśli naprawdę chcemy apolitycznego sportu, to musielibyśmy zakazać sportowcom posiadania poglądów, narodowości i sumienia.

Na razie więc pozostaje oglądać ten spektakl – trochę sport, trochę teatr, trochę kabaret. Śnieg jest prawdziwy, ale żółty napis na nim może być sztuczny jak inteligencja, która go stworzyła.

LEON ORŁOWSKI

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 18.02.2026 r.

eprasa.pl 07bed47261

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Członek PiS-u, zwolennik Ryszarda Terleckiego, w łóżku do żony, paląc blanta: – No powiedziałoby się bez ogródek tym gnojkom, że jest jakaś odpowiedzialność. I jak ktoś spierdala na Węgry, bo boi się o własną dupę, to powinien tę odpowiedzialność ponieść. U-po-sa-że-nie po-sel-skie? Naprawdę? Gość nakradł tyle hajsu, a zależy mu na u-po-sa-że-niu po-sel-skim?!

Żona: – Zgaś już, iskra spadnie na poszwę i dziurę zrobi.

Zwolennik Terleckiego: – No powiedziałoby się tym gnojkom prosto w twarz, żeby już zostawili Ziobrę i poszli dalej, bo jak nie, to ugrzęźniemy w tym bagnie na lata, a w dwa tysiące dwudziestym siódmym gówno zrobimy, a nie dobry wynik w wyborach. Niech zostawią Ziobrę i ominą Brauna, do cholery, bo jeszcze nas Amerykanie skreślą i przegramy nawet z Mentzenem.

Żona: – Zgasiłeś?

Zwolennik Terleckiego: – A co? Przypaliłoby się, co? Zgasiłem. Powiedziałoby się tym gnojkom całą prawdę, ale się nie powie, bo z partii mnie wywalą, a na liście umieszczą na niebiorącym, choć teraz trudno powiedzieć, które jest biorące, a które nie.

• • •

Członek PiS-u, zwolennik Sebastiana Kalety, do młodocianego kochanka przy kolacji z winem i świeczkami: – Powiedziałbym tym starcom, co myślę, bo wreszcie ktoś to musi powiedzieć. Wasz czas minął! Komuny nie ma już pół wieku, świat jest coraz prostszy. Wygrywa ten, co napierdala ciapatych, pluje na Unię, a Zełenskiego traktuje tak, jak na to zasłużył, a nie na kolanach. Trump rządzi, to murem za Trumpem, a nie ta ich inteligencka rozlazłość, rozmemłanie. Jeśli chcemy wygrać w dwudziestym siódmym, to powinniśmy jasno określić, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem, którego trzeba wdeptać w ziemię.

Kochanek: – A kupisz mi zegarek?

Zwolennik Kalety: – Kto dziś nosi zegarek? W komórce jest zegarek, najdokładniejszy, bo ustawiany według dżipiesu, a dżipies to przecież satelita, kosmos, rozumiesz? O czym to ja… A, o ziemi, tej ziemi, he, he, he… Nie rozumiesz, co?

Kochanek: – Czego? Nie, chyba nie…

Zwolennik Kalety: – Ziemi, tej ziemi. „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi". Papież. Polak. Jan. Paweł. Drugi. Jak można tego nie wiedzieć, no ale z drugiej strony, jak ktoś ma szesnaście lat… Bo już masz szesnaście, co?

Kochanek: – Prawie.

Zwolennik Kalety: – Kończąc, to powiedziałbym, że trzeba jebać tę gerontokrację, tych Terleckich, Suskich, Lipińskich. Ale przecież nie powiem, bo sczyszczą mnie z listy jak jakieś gówno i co zrobię? Do roboty pójdę?

Kochanek: – A…

Zwolennik Kalety: – A zegarek ci kupię, jak tak bardzo chcesz.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA wróciła z Podlasia. **JOANNA SENYSZYN** jest w ciągłych rozjazdach. Znowu nie mogą się spotkać.

Wołk-Łaniewska: – Nie da rady, musimy zacząć od Nawrockiej.

Senyszyn: – A ja bym wolała od olimpiady. Polskę reprezentuje 59 zawodników, którzy do tej pory zdobyli cztery medale: trzy srebrne i jeden brązowy. Gratulujemy.

– A ja nie będę udawać, że mnie to interesuje – w końcu snooker nie jest dyscypliną olimpijską – i od razu przejdę do polityki. Pewnie zaraz dostanę po głowie, ale w tej całej awanturze między prezydentową i „Wysokimi Obcasami" jestem twardo po stronie Nawrockiej.

– Pewnie dostaniesz. Ale najpierw wyjaśnij, o co chodzi.

– Feministyczny dodatek do „Gazety Wyborczej" opublikował zgoła rozpaczliwy tekst na temat wywiadu Nawrockiej w TVN24…

– Wywiad też był rozpaczliwy. Szczególnie mnie rozbroiła odpowiedź prezydentowej na pytanie o stosunek do aborcji: „Jestem za życiem". Ja też jestem i myślę o tych wszystkich kobietach, które nie żyją z powodu braku aborcji… A swoją drogą bardzo się dziwię, że prezydentowa poszła na wywiad do TVN nieprzygotowana. Pytania były łatwe do przewidzenia, więc ci spece, którzy w kampanii wyborczej nauczyli mówić Nawrockiego, mogli nauczyć i ją. Nie plątałaby się tak w zeznaniach.

– Bo to nie jest nadmiernie błyskotliwa osoba. Ale z tym plątaniem się to nie do końca tak. W obu tych przypadkach, kiedy wszyscy się jej czepiają, że nie odpowiedziała na pytanie – ona wyraźnie odpowiedziała. I wtedy, kiedy burknęła „proszę o inny zestaw pytań" po kwestii, czy „jest dla niej ważne wsparcie państwa" przy in vitro – i wtedy, kiedy całkiem milczała po pytaniu, czy „zgadza się z porządkiem prawnym" w sprawie aborcji. Jasne, że jako żona prezydenta katonacjonalisty nie mogła ogłosić, że jest za legalną aborcją i finansowaniem in vitro z budżetu, ale prawie to powiedziała.

– Prawie robi wielką różnicę. A poza tym – ona w ogóle odleciała na punkcie swojej ważności. Żeby nazwać swoją fundację Fundacja Pierwszej Damy – to doprawdy woda sodowa…

– Może ktoś jej doradził, że to jej przyda prestiżu w oczach tych, którzy patrzą na nią z góry. I oczywiście źle doradził – ale patrzenie z góry też nie zasługuje na uznanie. W „Wysokich Obcasach" red. Waloch, zawodowa feministka, wydała z siebie potwornie klasistowski bełkot, ukoronowany zdaniem, iż „Pałac Prezydencki to za wysokie progi dla ludzi takich jak państwo Nawroccy", bo „jej polszczyzna" jest „niezgrabna, niegramatyczna, chaotyczna".

– A nie jest?

– Może i jest, ale to nie definiuje jej jako człowieka. Pani red. Waloch poleciłabym prace fińskiej lingwistki Tove Skutnabb-Kangas, opisujące zjawisko lingwicyzmu, czyli dyskryminacji ze względu na sposób posługiwania się językiem, a także artykuł francuskiego socjolingwisty Philippe'a Blancheta definiujący glottofobię – czyli stygmatyzację z powodu akcentu i składni właściwej dla klas ludowych czy środowisk imigranckich. Czasem warto poczytać coś spoza dyskursu feministycznego…

– Przed chwilą narzekałaś na patrzenie z góry… Na feministki, jak rozumiem, można?

– No też nie można. Ale taki niezawoalowany klasizm zawsze budzi we mnie prosty ludowy wkurw.

– Jasne, Wołku, ludowy… Ale tak serio: podobała ci się Nawrocka? Na przykład wtedy, kiedy mówiła, że jej wzorem patrioty jest „nasz wielki papież Polak"? Zabawniej byłoby tylko, gdyby wymieniła swojego męża.

– To była odpowiedź rozpaczliwa, bez dwóch zdań. Zwłaszcza że można dyskutować, czy facet, który był głową obcego państwa – przez 11 lat pozostającego w otwartej wrogości wobec Polski, a przez kolejne 16 bez skrupułów dojącego naszą biedną ojczyznę na dorobku – byłaby na pewno polskim patriotą. Tak się zastanawiam, choć generalnie nie cenię sobie za wysoko patriotyzmu.

– Może dlatego, że w Polsce patriotyzm został wyparty przez nacjonalizm.

– Ja akurat uważam, że to synonimy, tylko jeden z nich jest eufemistyczny. Osobiście jestem kosmopolitką i jestem w tego dumna.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Wolno ci. Zmieniam temat. Premier Kanady wyrasta na bohatera walki z trumpizmem i szykuje gospodarcze porozumienie, które obejmie UE, UK i 12 państw Partnerstwa Transpacyficznego, od Australii po Wietnam. W sumie: półtora miliarda ludzi wytwarzających dwie trzecie światowego PKB.

– To oczywiście jest świetna wiadomość i Mark Carney podoba mi się szalenie, nie tylko z urody. Choć też; tak dokładnie wygląda mężczyzna w moim typie. Ale nawet gdyby był pomarańczowy i miał grzywkę na pożyczkę, i tak zasługiwałby na uznanie, choćby za wystąpienie w Davos…

– Gdzie ogłosił, że tzw. „porządek międzynarodowy oparty na zasadach" jest tak naprawdę oparty na „przyjemnej fikcji" i generalnie od dekad żyjemy w stanie uwznioślonej hipokryzji, gdzie duży może więcej, a mniejsi udają, że tego nie widzą, bo im się opłaca.

– Ale chcę ci powiedzieć, że także w Europie jest kraj, który wybija się na lidera walki z amerykańską okupacją ideologiczno-polityczną. I jest to Hiszpania pod przywództwem socjalistów…

– Socjaldemokratów. Rzeczywiście, Hiszpania jako jedyna ogłosiła, że nie będzie wydawać 5 proc. PKB na zbrojenia, albowiem oznaczałoby to cięcia wydatków socjalnych i jest to suwerenny wybór każdego kraju.

– Ostatnio zaś jest jedynym krajem europejskim wysyłającym pomoc humanitarną na Kubę, którą pomarańczowy psychopata próbuje zagłodzić, bo jego groteskowy sekretarz stanu chce znowu zrobić z wyspy amerykański burdel i kasyno, jak za dobrych starych czasów Batisty. Przed którym, nawiasem mówiąc, rodzice Marca Rubio spieprzyli z Kuby.

– Nie przed Fidelem?

– Otóż wyobraź sobie, że nie. Rubio wszędzie opowiada, jak to tatuś z mamusią musieli uciekać z ukochanej ojczyzny przed komunizmem – tymczasem oni wyjechali w 1956 r., na trzy lata przed rewolucją. Ale teraz chłopina chciałby zostać namiestnikiem Kuby, więc Trump zablokował wszelkie dostawy ropy i zagroził cłami wszystkim krajom, które spróbują Kubę wesprzeć.

– Ostatnio grupa ekspertów ONZ wydała w tej sprawie opinię: „Rozporządzenie wykonawcze Stanów Zjednoczonych nakładające blokadę paliwową na Kubę stanowi poważne naruszenie prawa międzynarodowego i poważne zagrożenie dla demokratycznego i sprawiedliwego porządku międzynarodowego. Jest to skrajna forma jednostronnego przymusu gospodarczego o skutkach eksterytorialnych"…

– Bo ONZ ma jeszcze zasady. Za to Unia Europejska, z chlubnym wyjątkiem Hiszpanii, staje się coraz bardziej skundlona. Ostatnio szefowie MSZ Francji, Niemiec, Włoch, Czech i Austrii próbują zlinczować specjalną sprawozdawczynię ONZ ds. Palestyny, wspaniałą Francescę Albanese, ponieważ izraelska propaganda ogłosiła, że Francesca nazwała Izrael „wspólnym nieprzyjacielem ludzkości".

– Ale ona przecież tego nie powiedziała…

– Oczywiście, że nie powiedziała; mówiła o systemie, opartym na koncentracji kontroli kapitału, algorytmów i broni, która zagraża podstawowym wolnościom i prawom człowieka – ale uderz w stół… Zwłaszcza kiedy nożyce mają okazję wyciąć kogoś, kogo nienawidzą, posługując się niezawodnym ostrzem zarzutów o antysemityzm.

– I na koniec: z dobrych wiadomości krajowych. Nawrocki podpisał nowelizację Kodeksu wyborczego, która wprowadza elektroniczne zbieranie podpisów poparcia dla kandydatów w wyborach powszechnych. To duża zmiana i ogromne ułatwienie, a także eliminacja przekrętów. Oczywiście została zachowana dotychczasowa możliwość dawania poparcia także na papierowych listach. Osobiście bardzo się cieszę, bo to ułatwi mojej Nowej Fali zbiórkę podpisów w wyborach do sejmu i senatu w 2027 r.

– Czego sobie i Państwu życzymy.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 07bed47261